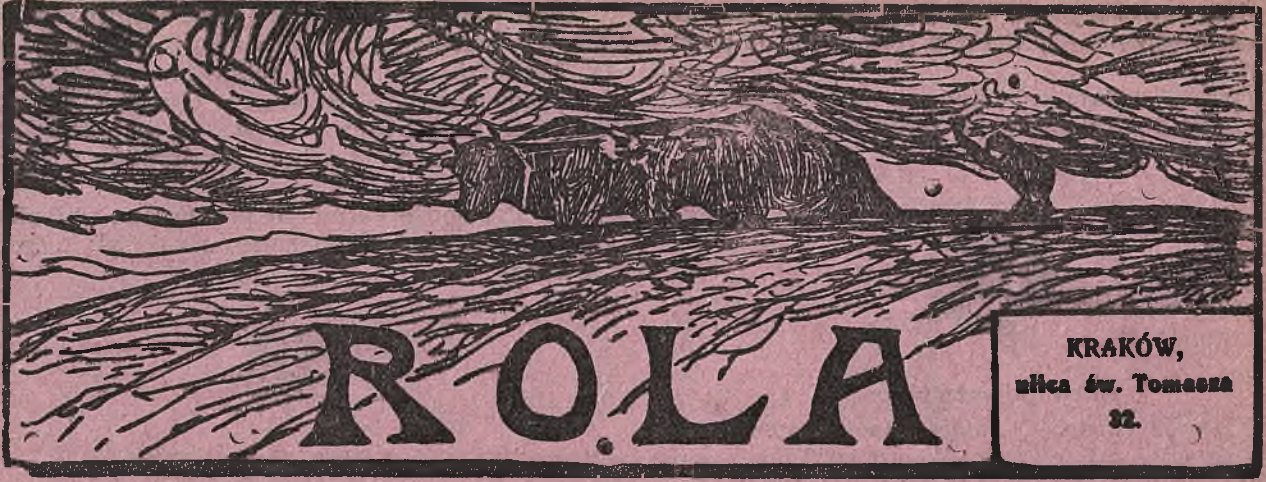
Numer 42 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 16 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

W sądzie.

Sędzia ogłasza: „Pan zostaje niniejszem skazany na 3 lata więzienia. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

Wówczas wstaje oskarżony i mówi: „Tak jest, proszę, żeby doniesiono mojej żonie, że przed rokiem 1929 nie przyjdę na obiad“.



To co najważniejsze.

On: „Pocóż ty dzisiaj idziesz do teatru? Widziałaś przecież już tę sztukę dwa razy“?

Ona: „Tak, ale nie w mojej nowej toalecie“.



Na krótko.

— Cóż będzie z temi 20 złotemi, jakie ci pożyczyłem? Mówiłeś mi przecie, że potrzebujesz ich tylko na krótko!...

— Bo też w ciągu 5 minut nie miałem już z nich ani grosza...

Dowcipny o polowaniach.

Pan Durand cieszył się opinją surowego prokuratora w Grenobli a zarazem sławą znakomitego strzelca. Tego lata udał się na polowanie z młodym Dupot'em, sędzią sądu okręgowego w Grenobli; chytry szarak wyskakuje z bruzdy i pędzi przed siebie.

Sędzia mierzy, strzela i... wyrokuje:

— Osądzony!

— Być może — rzecze prokurator, przyglądając się z pod oka uciekającemu szarakowi: „Zaocznie! zaocznie!“

Co to jest plajta?

— Tate — pyta młody Icek — co to jest plajta?

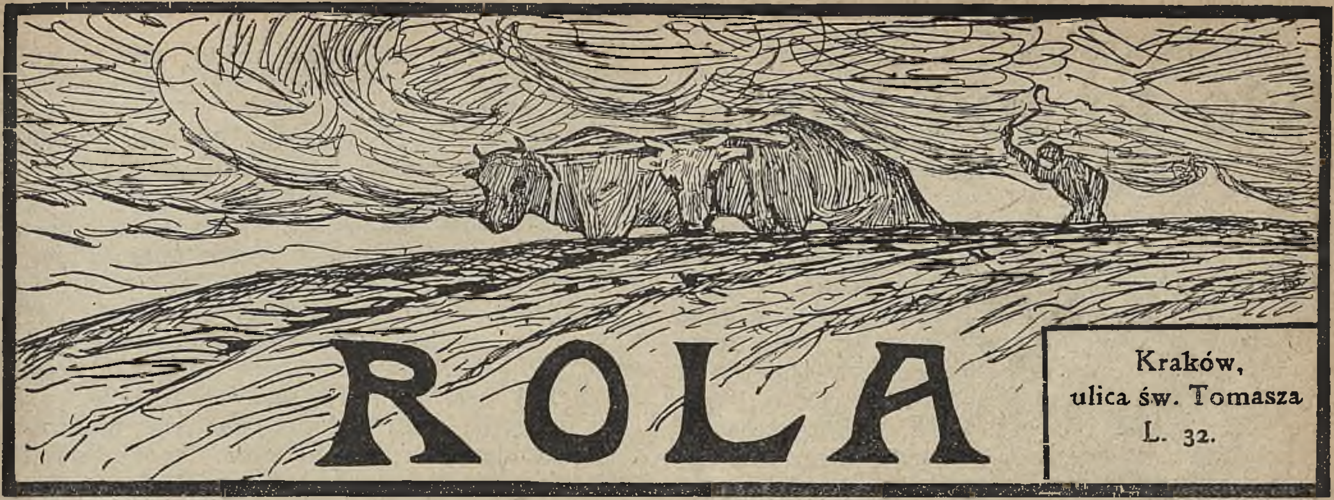
— Widzisz, Icek, plajta to jest wtedy, kiedy wszystkie pieniądze moje włożę do kieszeni od spodni, a wierzycielom swoim oddam kamizelkę.

Środek na nudy.

Pewien młody kupiec użala się przed swym starszym kolegą, że się nudzi.

— Wiesz co? — odpowiada kolega — wystaw kilka weksli z terminem płatności za trzy miesiące! Zobaczysz jak ci czas szybko upłynie!...

Numer 42. Rok X. Kraków, dnia 16 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Pod sztandary wojskowe!

Już wkrótce, bo zaledwie za dni kilka, stoparędziesiąt tysięcy młodych Polaków, w całym kraju wybranych, pójdzie pod sztandary wojskowe odbywać swą powinność. Wielu, bardzo wielu pójdzie chętnie; ci uważaliby sobie za ujmę i wstyd być uznanym za niezdatnych do tej służby obywatelskiej. Wielu jednak pójdzie do swego oddziału niechętnie, dlatego, że iść trzeba, dlatego, że mus. Pójdą z jakąś urojoną obawą przed ciężką służbą żołnierską, gdzieś na obczyźnie, wśród dalekich nieznanych ludzi, gdzie czeka ciężka i trudna praca.

Rozumię was, chłopcy, którzy niechętnie myślicie o waszej służbie w wojsku. Rozumię, ale muszę wam powiedzieć, że nie macie racji. O nie!

Idziecie przecież do swojego, polskiego wojska. Wasi dowódcy, od najwyższego generała aż do najmłodszego podoficera — to wszystko Polacy, tacy sami jak wy. W polskim, a nie innym języku będą do was mówić, będą was uczyć, wychowywać. Wszyscy oni dobrze wam życzą, chcą, byście po dwu latach służby w szeregach wyszli jako dobrzy, zahartowani, dzielni obywatele. A służyć będziecie pod sztandarami, na których wypisane są nazwy bitew, gdzie walczyło wielu waszych bliźnich, znajomych, krewnych...

Prawda, zrazu nie będzie wam w wojsku dobrze: każdy początek jest ciężki. Ale to nic. To prędko minie. Potem w kompanji, szwadronie czy baterji czuć się będziecie, jak w domu. I wesoło, bo przecież nie będziecie sami, ale całą gromadą. A zajęcia i ćwiczenia nie trwają wiecznie, znajdzie się zawsze czas na żart czy zabawę, na przeczytanie gazety lub napisanie listu.

I w wojsku wiele się nauczycie. Nietylko rzeczy czysto żołnierskich. Zobaczycie kawał Polski, poznacie wielkie miasta, różne fabryki i urządzenia, spotkacie niejedną nową, ciekawą rzecz. Przetrzecie się trochę w świecie, przestaniecie być wiecznie mamusinej spódnicy trzymającymi się „dzikami". Iluż to jest takich porządnych, ale nieśmiałych i nierozgarniętych chłopaków; w wojsku oni prędko nabierają postawy, pewności siebie, mężnieją i odmieniają się niedopoznania. Sami musieliście nieraz to już zauważyć. — A już wszyscy nauczą się punktualności, porządku, posłuchu i karności, której nam Polakom bardzo, ale to bardzo jeszcze brak.

Pewnie, służba wojskowa to nie zabawka, to szkoła i twarda szkoła. Tam chleba zadarmo nie dają, ani marnować czasu nie pozwolą. Kto pracować nie chce czy nie umie, kto potrafi tylko spychać i zbywać obowiązki, tego tam nie głaszczą. Ale też i krzywdy nikomu nie robią. Kto umie być pilnym, starannym, kto zna prawdziwy posłuch, — temu wojskowe zajęcie nietylko wyda się lekkie, ale wnet w niem zasmakuje, polubi je.

Tylko kiepskiemu żołnierzowi jest w wojsku źle. Bo jest albo niedołęgą, co niczego nauczyć się nie może, albo też próżniakiem, który bez popędzenia niczego zrobić nie potrafi. Taki to zwykle opowiada najwięcej o wojsku, jak to tam źle, jak ciężko, jak młodych żołnierzy karzą, biją i t. d. Otóż nieprawda! W wojsku polskiem bić nie wolno i starszy, któryby żołnierza uderzył, idzie pod sąd. Ale też, jak kto zasłużył, to go kara nie minie, kara może gorzka, ale sprawiedliwa. Nic dziwnego, że wałkonie i próżniaki narzekają.

Nie święci garnki lepią, więc głowy do góry! Albośmy to jacy tacy, byśmy szli do wojska z nosem na kwintę?! Służba wojskowa — to piękna rzecz. To wam mówi stary żołnierz, możecie mi więc wierzyć. *Po.*

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

I.

Szary świt wczesnego sierpniowego poranku się robił, gdym wracał do domu smutny i zgnębiony nadzwyczajnie... Nigdy nie zapomnę ani tego dnia, 13 września, ani tego roku, 1806, który rzucił mię w szereg najdziwaczniejszych przygód, a życiu mojemu, dotąd bezbarwnemu i szaremu, nadał zgoła inny kierunek. Wiatr chłodny i przenikliwy wył posępnie po pustej ulicy Nowego Światu i przy mętnem, zachmurzonem niebie, ledwie różowiącem się na wschodzie, oddziaływał bardziej jeszcze przygnębiająco na moją i tak już przygnębioną duszę. Wypadki bowiem tej nocy, w których ja główną odegrałem rolę, były tak poważne i mogły za sobą tak doniosłe pociągnąć skutki, że było czego się smucić i o czem rozmyślać.

Stało się bowiem to, że obraziłem dość mocno rotmistrza dragonów pruskich, pułku królowej Luizy, który stał podówczas w Warszawie, pana barona Hermana von Hillera, a ten, rozdrażniony do najwyższego stopnia, wyzwał mię na pojedynek i zapowiedział, że mi dziś jeszcze przyśle swoich sekundantów.

Szedłem więc, otulony płaszczem, odczuwając cały smutek budzącego się dnia, sam smutny głęboko, i rozmyślałem, jak mam się zachować wobec tak ciężkiej alternatywy. Żywej duszy nie było na nim widać, a kroki moje rozlegały się donośnie. Mieszkałem na Krakowskiem Przedmieściu, wprost kościoła OO. Bernardynów, i miałem dość czasu do rozmyślań nad swojem, zgoła niewesołem położeniem.

Ledwie wszedłem do siebie, gdy służący mój, a raczej przyjaciel, gdyż pochodziliśmy z jednej wsi, byliśmy jednolatki i razem wychowaliśmy się, Grześ, Rozwora nazwiskiem, zerwał się z ławy, na której drzemał w antykamerze i, ziewając a przeciągając się, rzecze:

— Dobrze, że panicz wrócili, bo jest coś nowego.

— Co takiego? — zapytałem.

Grześ, ziewając straszliwie, tak, że jego twarz ospowata i naga, jak kolano, wykrzywiała się i marszczyła śmiesznie, zdjął ze mnie płaszcz i nic nie odpowiadając, począł go wieszać i oglądać starannie. Byłem mocno zdenerwowany nocą nieprzespaną i opłakanym pojedynkiem z rotmistrzem von Hillerem, więc to pogardliwe milczenie Grzesia rozgniewało mię nadzwyczajnie i krzyknę:

— Czemu, kpie jakiś, nie odpowiadasz, kiedy pytam?

— O laboga, zaraz kpie! — mruknie Grześ i, odwracając się do mnie, a patrząc mi w oczy swemi wielkiemi wyłupiastemi ślepiami, ozwie się półszeptem: — Będę gadał, żeby wszyscy słyszeli? Nie wiedzą to panicz, że i ściany mają uszy, a szewc kuternoga, co nad nami mieszka, jest okrutnie ciekawy i zawżdy podsłuchuje... Niech panicz idą do świetlicy, tam pogadamy.

Uwaga była słuszna. Poszedłem więc do mej sypialni. Tu siadłem sobie, zmęczony i znękany, i czekałem na Grzesia, który niebawem się zjawił i, zamykając starannie drzwi za sobą, rzekł głosem przytłumionym:

— Wczoraj, jak panicz poszli, przykuśtygał tu stary Szaja z Przybyszewa i przyniósł pismo.

— Pismo, od kogo?

— A od kogóżby, jak nie od pana Skalskiego.

— Od Tadeusza? Bój się Boga, dawaj! Gdzież to pismo?

Ów Tadeusz Skalski był moim serdecznym przyjacielem i sąsiadem. Jego ojciec miał ładną wieś, graniczącą z naszą posiadłością. Ja, Grześ i Tadzik chowaliśmy się razem. Stąd serdeczna zażyłość i przyjaźń. A choć Grześ był synem prostego gajowego w naszych lasach i, oczywiście, do pokojów nie był wpuszczany, jednakże na polu, w ogrodzie i w lesie był naszym nieodstępnym towarzyszem i uczestnikiem wszystkich zabaw i psot naszych. Tadzik Skalski odznaczał się niepodległym charakterem, niespokojnem i awanturniczem usposobieniem. Ledwie też doszedł lat ośmnastu, po śmierci rodziców, którzy w tym czasie prawie jednocześnie pomarli, zebrał parę tysięcy dukatów, wieś oddał w zarząd i pod dozór starego Rozwory, ojca Grzesia, i wyniósł się do Włoch, do legjonów. Upłynęło od tego czasu trzy lata, przez które otrzymałem od niego parę listów, już sam nie wiem jaką drogą, ale zawsze przez pośrednictwo starego Żyda Szai z miasteczka Przybyszewa, który nigdy nie chciał powiedzieć skąd i jak te listy dostaje. W pismach tych Tadzik bardzo się rozwodził o różnych bitwach, w których brał udział, zachęcał mnie, bym rzucił próżniackie, jak mówił, życie i także wstąpił do legjonów, pisał, że dosłużył się stopnia porucznika i zawsze domagał się, bym mu przez Szaję przysłał pieniędzy, jak najwięcej pieniędzy, „bo tu nieraz w Italji głodno, jak się wyrażał, szczęściem, że nie chłodno i kamratów też poratować w biedzie trzeba".

Otrzymawszy taki list, wysyłałem co prędzej Grzesia do Wilkowa (tak się wieś Tadzika nazywała), by od starego Rozwory wycisnął co się da gotówki. Grześ tak się gracko spisywał, że zawsze przywoził po parę tysięcy talarów, które oddawałem za rewersem Szai, a on je wysyłał do Italji, nigdy, jak powiadam, nie mówiąc jaką drogą i przez kogo.

Otóż teraz ucieszyłem się wielce, gdy mi Grześ powiedział, że Szaja przywiózł nowy list od Tadzika. Gdym rozpieczętowywał wielką, zabrudzoną i pomiętą mocno kopertę, Grześ rzekł:

— Pewnikiem Tadzik chcą znowuj pieniądzów. Ja już wybrałem się w drogę, a chociem się przez panicza nie wyspał, gotów jestem lecieć do Wilkowa. Jeno nie wiadomo, czy rodzic będą mieli talary, bo urodzaj chybił i Miemcy zboża, słyszę, nie chcą kupować.

Tadzik oczywiście, jak zwykle, domagał się pieniędzy, ale prócz tego były tam w liście takie wiadomości, które wstrząsnęły mną do głębi i całkiem nowy kierunek nadały moim myślom.

II.

Przedewszystkiem więc Tadzik nie pisał już z Włoch, jak to dotąd bywało, ale z miasta Strasburga, gdzie jego legja, zwana teraz legją Północną, stała. Właściwie formowała się ona dopiero, a dowodził nią jenerał Zajączek. O wszystkiem tem Tadzik pisał szeroko i donosił, że sam już w nowej legji otrzymał szarżę kapitana. Najważniejszym jednak był ustęp taki:

„Sztyftujemy się na gwałt, bo wszyscy tu mówią, że będzie wojna z Prusakami. Aż nas tu ręka świerzbi, by tych niezmośnych Szwabów prać za wszystko

to, co nam złego zrobili. Ani chybi, że ich pobijemy, bo Cesarz nie takich mocarzów już pokonał. Czuj duch tam w Warszawie, bo jeno patrzeć, jak do was zlecimy! I tybyś, chłopcze, dobrze zrobił, byś, póki wojna nie wybuchnie, do nas się przedostał. Co będziesz gnił w Warszawie pod batem niemieckim! Jeżeli się zdecydujesz, to mi sam przywieź pieniądze, a w Strasburgu pytaj o kwatery legji Północnej. Zmiłuj się, niech Rozwora wszystko sprzeda i jak najwięcej daje pieniędzy. Potrzebuję najmniej ze dwa tysiące dukatów. A więc do zobaczenia"!

Słowa te w pomroku mych rozpaczliwych myśli były jasnym blaskiem, rozwidnieniem otaczającej mię nocy. Po co miałem szukać innego wyjścia z tego położenia, kiedy ono jasno przedemną się zarysowało.

— I będzie to nawet z wielu względów dobrze — mówiłem sobie — uniknę Cuchthauzu i kajdan niemieckich, zerwę z życiem bezcelowem, hulaszczem i marnotrawnem, jakie pędziłem w Warszawie, rzucę się w wir wielkich wypadków, orzeźwię się, zahartuję i młodość moją górnie przepędzę. A więc rzecz postanowiona! Hej, Grześ!

— Jezdem, czegój się panicz drą? Przecieć stoję tu cięgiem. I cóż tam Tadzik piszą z Włoch? Czy nasi zawżdy Miemców dobrze kropią? Prawdę rzekłszy, to mi się tu strasznie ckni w Warsiawie i pedam paniczowi, pluńmy z przeproszeniem tu na wszyćko i jedźwa albo do Rudnik, albo do Włoch do naszych...

— Tak, Grzesiu, zdecydowany jestem jechać do legjonów.

Duża i ospowata twarz Grzesia zajaśniała wyrazem nadzwyczajnej radości. Schylił się, objął mię za kolana i prawił:

— A niechże paniczowi Pan Jezus do zdrowie i świętsza Panienka Skępska. A toć mię panicz uradował, jakby mi z przeproszeniem samego miodu w gębę nakładł. Dopiero to Miemców prać będziemy, Chryste Panie! aż mię łapa swędzi. Ja tu w Warsiawie, com, z przeproszeniem, uźrał jaką szwabską gębę, tom się musiał odwracać, żeby, czego Boże broń, jakiego figla brzydkiego nie spłatać. Jużem zdzierżeć nie mógł. Com wyszedł na miasto, to zaraz łapa zaczynała mnie świerzbieć, a we wnętrzu aż się wszystko przewracało ze złości, że użyć jej nie mogłem. I to rzec też muszę, żem dziś w nocy strzymać nie mógł, i poszedłem se na Rybaki i tam jednego żołdata niemieckiego poturbowałem, jak się patrzy, unurzałem w błocku i farby mu z pół kwarty puściłem.

Stał cały rozpromieniony, aż wszystkie znaki po ospie czerwono mu się zabarwiły, pięścią wygrażał i nogą sobie przytupywał. Jam go, co prawda, nie bardzo słuchał, bom zasiadł do biurka, by napisać list do starego Kownackiego, który zarządzał mojemi Rudnikami, żeby zebrał co może gotowego grosza i natychmiast mi przysyłał. Skończywszy pisanie, zwróciłem się do Grzesia.

— Słuchaj pilnie, co ci powiem — rzekłem — bo sprawa jest ważna. Musisz jechać do Rudnik i do Wilkowa. Od swego ojca w Wilkowie wyciągnij dla Tadzika jak najwięcej pieniędzy, choćby przyszło wszystko zboże i nawet wszystek inwentarz za byle co Żydom sprzedać. Moszek z Raciąża pewno kupi. Dość, że masz przywieźć najmniej dwa tysiące dukatów. Rozumiesz?

Grześ drapał się po kołtunowatej głowie i mówił:

— Rozumiem. Co nie mam rozumieć. Jeno nie wiem, czy mi się to uda. Rodzic strasznie są skąpi, ale jak trzeba, to trzeba, a przecie to nie ich, jeno Tadzika. Tadzik jest dzidzicem i rodzic słuchać muszą.

— To jedno. W Rudnikach oddasz to pismo Kownackiemu, powiesz mu, że jadę do legjonów i niech daje pieniędzy co może.

— A ile?

— Ile będzie mógł. Jeżeli nie ma gotowych, niech sprzeda zboże, a pieniądze być muszą.

— Dobrze, już ja przycisnę Kownackiego, jak się patrzy.

— Przedewszystkiem — ciągłem dalej — trzymaj język za zębami i nikomu, prócz Kownackiego, nie gadaj o tem, że jadę do legjonów, bo wiesz, że Prusaki surowo tego zabraniają.

— Toć ja wiem i co mam gadać. Ale jakże to, panicz sami chcą jechać do tych tam lagonów, beze mnie?

— Skądże ci to do głowy przyszło? Jakżebym ja mógł sam jechać? Pojedziemy razem.

— Ano... bo mi się tak widziało niby z mowy panicza. No! no! już ja Kownackiego przycisnę, a jakby mi się kto ze dwora pytał, na co paniczowi trza pieniądzów, to mu rzekę, że się żenimy z hrabianką i koniec.

— Najlepiej nic nie gadaj — zaśmiałem się — i nie pozwalaj, żeby ci się pytano. Co komu do tego, na co ja potrzebuję pieniędzy?

— Pewnikiem, że tak, ale zawżdy ludzie są ciekawi, osobliwie dzieuchy.

— Więc się z dzieuchami nie zadawaj. A teraz jeszcze jedno. Wracaj jak najprędzej. Dziś mamy wtorek, musisz być z powrotem najpóźniej we czwartek. Bo trzeba ci i to powiedzieć, że mam pojedynek, tylko nie wiem jeszcze kiedy...

— Pojedynek? A z kim?

— Z Niemcem, rotmistrzem Hillerem... Wiesz, ten taki nadęty, z rudym łbem i wąsami.

— I będzie się panicz z nim bił?

— Będę.

— A na co?

— Nie wiem jeszcze. Może na pałasze, a może na szpady.

— Hm! dobrze to, że panicz Miemcowi łba nakręci, ale bez to ja jechać nie mogę.

— Dlaczego? co ty gadasz?

— Latego, że ja samego panicza w takiej przypadłości ostawić nie mogę. Miemiec jest krzepki i pleczysty, a panicz chuderlawy i nie wiadomo, co komu Pan Jezus przeznaczy.

— Ha! ha! ha! — roześmiałem się — więc myślisz, że mię Niemiec zmoże?

— Hm, czy ja wiem? Ale tu nijakiej pewności niema. My, chłopcy, choć się też czasami kłonicami bijewa, to rozmaicie bywa. Zawżdy ten lepszejszy, co ma krzepę, a chocia panicz pałaszem dobrze śmigają, pewności tu nijakiej niema.

— Więc cóż?

— A to, że ja nijak jechać do Rudnik nie mogę i panicza samego nie ostawię.

— Jużcić, prawdę rzekłszy, i jabym wolał, żebyś ty był przy mnie w takim ważnym terminie, ale myślę, że to się da pogodzić. Ty jedź natychmiast, śpiesz co masz sił, koni i pieniędzy nie żałuj i koniecznie wróć we czwartek, ja zaś postaram się, że pojedynek odłożymy do piątku.

— Piątek jest dzień feralny.

— Ha, to trudno!

— Lepiej bić się w sobotę.

— Zapewne... wreszcie zobaczymy. Postaram się o odłożenie pojedynku do soboty.

— A jak się Miemiec nie zgodzi, bo to...

Nie skończył, gdyż w antykamerze rozległ się głos dzwonka.

— Ktoś idzie! — zawołałem. — Pewnie sekundanci Hillera. Do licha, strasznie mu śpieszno! Trzeba tych ichmościów przyjąć jak należy.

W rzeczy samej byli to sekundanci Hillera. Wymieniwszy swe nazwiska, oświadczyli stojąc, w jakim celu przybyli.

— Odrazu domyśliłem się, z czem przybyliście panowie — rzekłem. — Gotów jestem dać panu von Hillerowi wszelkie, jakiego zażąda, zadośćuczynienie.

— Wymagamy — począł piskliwym głosikiem pan graf von Lossowitz — ażeby pan przeprosił pana rotmistrza von Hillera i to przeprosił publicznie.

— Daruje pan — odrzekłem — ale tego nie uczynię.

— W takim razie bić się pan musi.

— Owszem, bić się będę.

— Na pistolety.

— Sądziłem, że walczyć będziemy na pałasze, ale skoro panu Hillerowi podobają się pistolety, nie mam nic przeciw temu.

— Strzelać panowie będziecie dopóty, dopóki jeden z przeciwników nie padnie.

— Jak się panom podoba.

— Pojedynek odbędzie się w piątek, gdyż rotmistrz von Hiller musi dziś z rozkazu swego jenerała jechać do Torunia w interesie służbowym i wróci dopiero we czwartek wieczorem.

Propozycja ta ucieszyła mię mocno, gdyż odpowiadała moim pragnieniom. Grześ mógł więc jechać, pieniądze przywieźć i być obecnym przy pojedynku. Udałem jednak, że mi się to nie podoba i z miną kwaśną rzekłem:

— Mniemałem, że panu von Hillerowi pilniej jest zmazać we krwi mojej uczynioną mu obrazę...

— Graf von Lossowitz — ozwie się na to grubym basem milczący dotąd rotmistrz baron Teutelburg von Hildensheim — wyjaśnił powody, dlaczego pan von Hiller zmuszony jest odłożyć ukaranie zuchwalstwa pańskiego do piątku. Dla pana winno to być pociechą: będziesz żył parę dni dłużej.

Nie podobały mi się te słowa. Przybrałem groźną postawę i rzekłem:

— Racz pan te uwagi schować dla siebie i nie zapominaj, że znajdujesz się w moim domu. Nie nadużywaj swego bezpiecznego położenia, bo u nas gość w dom, Bóg w dom. Co się tyczy odłożenia walki do piątku, niech i tak będzie, tylko skoro panowie tego żądacie, pozwólcie, że i ja postawię moje żądanie.

— Masz pan do tego wszelkie prawo — zapiszczał porucznik von Lossowitz.

— U nas piątek uchodzi za dzień feralny, więc żądam, by pojedynek odbył się w sobotę. Ma rotmistrz Hiller swoje interesa, które chce do piątku załatwić, mam i ja także, których nie załatwię wcześniej.

— Nie myślałem — ozwie się basem baron Teutelburg — by w XIX wieku jeszcze istniały takie przesądy, jak dnie feralne. Prawda, że w tym kraju...

— Ani słowa więcej! — zawołałem i, patrząc groźnie, spytałem: — Czy panowie zgadzacie się na sobotę?

— Ja myślę, że można się zgodzić — zapiszczał Lossowitz i po chwili dodał: — Tak, zgadzamy się. Co do warunków, miejsca i czasu pojedynku, raczy pan wskazać nam swych sekundantów, byśmy się mogli z nimi ostatecznie umówić.

— Za parę godzin będą u panów.

— Czekamy więc.

To rzekłszy, skłonili się sztywnie i wyszli.

Byłem więc bardzo rad z takiego układu i mogłem śmiało wysłać Grzesia. Mógł teraz dłużej o jeden dzień zabawić, co było rzeczą ważną, ze względu na konieczność dostania poważniejszej sumy pieniędzy. To też w godzinę potem Grześ już pędził ekstrapocztą do Rudnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Polskie drzewa.

Wymieniamy tu gatunki, rosnące od Wileńszczyzny aż po Karpaty. Z drzew owocowych mamy jabłoń, grusze, wiśnię, czereśnie, śliwę. Polska jest krajem jabłoni, lubo jej odmiany delikatniejsze i tu marzną. Spokrewnioną z drzewami owocowemi jest jarzębina, głóg. Do jednej z tej rodziny należy brzoza i grab, równie, jak do innej znowu — dąb i buk. Dąb rośnie wszędzie w Polsce, buk natomiast — w Lubelszczyźnie, górach Świętokrzyskich, na zboczach Karpat i w części północno-zachodniej naszego Państwa — aż po Bałtyk... Do najpospolitszych drzew naszych należą wierzby i topole. Wierzb mamy wiele gatunków, a z nich bardziej znane: iwa — o liściach podobnych do śliwowych; złotucha — o gałązkach wiotkich, żółtych. Topoli mamy też kilka gatunków, jak: sokora, inaczej topola czarna, czyli nadwiślańska; białodrzew o korze jasnej i liściach pod spodem białych; osika drżącolistna; topola włoska, wysmukła o gałęziach schnących w górze. Spotykamy też wiąz polny i wiąz limak. Wiąz polny ma ładną formę, zwaną brzostem, która różni się od typu korkowatemi spękaniami i takiemiż na pniu i gałęziach. Limak ma kwiaty a potem owoce na długich szypułkach czyli łodyżkach kwiatowych. Mamy też lipy i klony. Ostatnie występują w trzech gatunkach jako: klon pospolity, o dużych, zielonych liściach, równo wyciętych; klon jaworowy o liściach tęgich, ciemnozielonych w zatoki, a od spodu i na ogonkach różowawych. W wilgotnych gruntach wyrastają strzeliste jesiony i posępne olchy.

Z drzew iglastych najdalej na północ jest wysunięta sosna i świerk. Przez ziemię radomską przechodzi północna granica zasięgu jodły. W górach Świętokrzyskich występuje też modrzew polski i cis. W Karpatach, obok świerków i jodeł mamy limby o nasionach jadalnych. Oprócz wymienionych, dziko rosnących drzew, mamy jeszcze drzewa całkiem lub napół zaaklimatyzowane, stanowiące ozdobę naszych parków i ogrodów strojnych oraz dróg. Do nich należą też drzewa owocowe takie, jak morele, brzoskwinie, bardzo czułe na mróz. Z ozdobnych, względnie dość wytrzymałych na mróz i wydających nasiona, wymienimy akację, a właściwie grochownik. Z napół zaaklimatyzowanych podamy platan, który, lubo dość wytrzymały, jednakże nie zawsze wydaje nasiona kiełkujące. Królem wszystkich naszych drzew ozdobnych jest niezaprzeczenie d ą b.

RANEK.

Niema może nic przyjemniejszego na świecie, jak pogodny ranek na wsi. Jest to niejako przebudzenie się całej przyrody do nowego życia na nowe trudy, nowe mozoły, do pracy, która ledwie ze zmierzchem dnia poprzedniego minęła, a która teraz na nowo ma się zacząć i trwać przez dzień cały. Z brzaskiem słońca stajemy przed jakąś wielką niewiadomą, często ani nie przypuszczając, co nam dzień ten przyniesie. Pomimo dnia jasnego idziemy jakby w ciemni do niepewnego celu. Częstokroć pozornie dzień zapowiada się nam jak najróżowiej, gdy nieraz zdarza się, iż najniespodziewaniej grom w nas uderza okrutny. I odwrotnie; ileż to razy rozpoczynamy dzień z jakimś lękiem nieuzasadnionym, a tymczasem przekonywujemy się w ciągu dnia, że dzień ten możemy zaliczyć do najszczęśliwszych naszego życia. W każdy poranek stajemy więc przed wielką niewiadomością i dlatego właśnie powinniśmy być na wszystko, złe i dobre, przygotowani. A najlepszem przygotowaniem do rozpoczęcia i przepędzenia dnia każdego jest modlitwa. Już kościół święty nakazuje rozpoczynanie dnia każdego modlitwą. Ale choćby takiego nakazu nie było, to przecież mądrą jest rzeczą od modlitwy dzień zaczynać, albowiem modlitwa taka jest niejako skupieniem się samego w sobie i rozważenia. co nam w rozpoczętym dniu czynić należy. Tak powinni rozpoczynać dzień nawet najwięksi mędrcy. A tymczasem cóż się dzieje? Oto ci ludzie, którym się zdaje, że wszystkie rozumy pojedli, zaczynają przeważnie dzień bez modlitwy, i dlatego ich też tyle w życiu zawodów spotyka. Natomiast prostaczkowie nigdy porannej modlitwy nie opuszczają i dlatego choć pędzą życie ciche i skromne nie są narażeni na jakieś nadzwyczajne niespodzianki.



A. Kozakiewicz. Ranek.

Taką cichą poranną modlitwę wiejskiej pastereczki uwidocznił na naszym obrazku artysta malarz A. Kozakiewicz. Na błoniu poza wsią wiejska pastereczka pasie gąski białe. Pierzasty dobytek skubie sobie trawę, a dziewczę z jakąś robótką w ręce odmawia poranne modlitwy. I można być pewnym, że tej pastereczki przez cały dzień nie spotka żadna niespodzianka.

Pielgrzymki.

Byłem tego naocznym świadkiem, jak na torze kolejowym stało dwóch niedowiarków szydząc sobie z gromadki ludzi wiejskich idących na odpust do Kalwarji Zebrzydowskiej mówiąc: „Po co też to te głuptaki idą, nie lepiej, by jeden z drugim pracował w polu, jak włóczył się po świecie, tracąc czas i pieniądze?“ „Naturalnie!“ powiada drugi. Na to jeden chłopek z tej gromadki ludzi powiada: „Że dawniej prześladowali poganie chrześcijan, toć jeszcze nic dziwnego, ale że dziś katolik z katolika szydzi, to jest smutne“. Na to jeden powiada: „Jak się chcecie modlić, to się we swoim kościele możecie namodlić, a nie włóczyć się po świecie, tracić czas i pieniądz“. Na to chłopek powiada: „A no, powiedzcie mi moi panowie, po co ludzie jadą do Ameryki i do innych krajów, kiedy i u nas można żyć, albo po co ludzie jadą do kąpiel a zwłaszcza panowie, bo nas na to nie stać, kiedy i u nas jest woda?“ Gdy ci milczeli, chłopek powiada: „I na takie proste pytanie nie umiecie odpowiedzieć?“ To ja wam powiem: „Jadą do Ameryki i do innych krajów, dla większego zarobku, a do kąpiel, bo P. Bóg tamtym wodom dał osobliwszą moc, gdzie wielu odzyskuje zdrowie. Taką Ameryką duchowną i miejscem kąpielowem są miejsca święte, gdzie Pan Bóg Sobie szczególniej upodobał, a Kościół św. licznemi je udarował odpustami“. Na to niedowiarek powiada: „Co mi tam jakieś odpusty, spowiedzi, posty, kiedy wystarczy mi, abym był ochrzczony“. Na to chłopek mówi: „Pan dostał przyjęcie do służby, a gdyby pan swych obowiązków nie wykonywał, omałby pensję? Chrzest św. wystarczy dla małych dzieci, ale my starsi musimy jeszcze wykonywać obowiązki i praktyki religijne, nadane od Pana Boga i Kościół św. Wreszcie mam 50 lat, idę co roku na odpust do Kalwarji, ale w mojem gospodarstwie nie znać tych utraconych dni na odpust, znać u tych, co się włóczą po szynkach, sądach“, wreszcie powiada do swych towarzyszy: „Pójdźmy!“ I śpiewając, szli dalej.

Drugiego przykładu też byłem świadkiem i za prawdziwość tego ręczę swem sumieniem.

Mój kolega, pracując na kolei, miał wielką chęć pójść na odpust do Kalwarji, — uczynił ślub, że pójdzie. Gdy nadszedł czas odejścia rodzice mu nie pozwolili, mówiąc: „Nie pódziesz nigdzie! Teraz tak o robotę na kolei trudno, pójdziesz, to cię kto w zarobku posiędzie i pozbędziesz się zarobku. Wreszcie teraz takie pilne roboty w polu, tobyś nam przed 6-tą godziną rano i po 6-tej wieczór pomógł“. Kolega myśli sobie: Jak tu tę sprawę pogodzić? Bo tu uczyniłem ślub Panu Bogu, a tu znów rodziców trzeba słuchać. Ale uległ spokojnie woli rodziców i nie poszedł. Tego samego dnia, gdy kompanja odeszła na odpust, on przy pracy na kolei zachorował i 3 tygodnie wyleżał, ani nie robił, ani rodzicom w pracy nie pomógł. Powie mi kto, że się może zirytował, że mu rodzice nie pozwolili pójść i z tego zachorował. Wcale nie. Było to przestrogą i nauką dla nas wielu.

Przed kilkunastu laty umarł w Nowym Sączu rabin. Żydzi w rocznicę jego śmierci co roku z całego

okręgu kto tylko może w przepełnionych przez nich pociągach, furami, pieszo, gromadzą się na jego grób. Miasto od żydów roi się jak mrowisko poruszone silnie przez kogoś. Daleko więcej powodów mamy do uczczenia Boga Człowieka Zbawcy naszego, który nam dał tyle dowodów miłości i Matki Jego Najśw., która Sobie za tron obrała Częstochowę, Kalwarję i inne miejsca Jej ulubione.

Jest miejscowość, z której co roku do Kalwarji i do Kobylanki 9 mil odległych, szło pieszo po 100 osób i więcej z wiarą i pobożnością, była ona kwiatem tej okolicy, a gdy teraz wiara ostygła, idzie 15—20 osób, namnożyło się wiele złego, o czem nie chcę więcej pisać.

Powyższe przykłady piszę dlatego, bo czytałem w jednym tygodniku artykuł, w którym autor zapytuje, czy nie dobrzeby było dla uświadomienia publiczności omówić w jaki sposób odzwyczaić ludzi wiejskich od marnowania czasu, zdrowia i pieniędzy z powodu niepotrzebnego włóczenia się po odpustach, więc i ja proszę o umieszczenie w „Roli“ tych parę słów, aby ten wspomniany autor i inni tak samo myślący mylnem swoim poglądem nie siali kąkolu w pszenicy. Niech tacy raczej uświadomią tych, u których ostygła lub wygasła wiara św. i za owoce swego życia płacą słono adwokatom, by ich bronili przed sprawiedliwością ludzką i im podobnych katolików tylko z metryki. I Judasz mówił podobnie św. Magdalenie, że szkoda tego drogiego olejku, co wylała na nogi P. Jezusowi, lecz P. Jezus powiedział, że dobrze uczyniła, a Judasz zginął nędznie.

Józef Serafin.



MACIEK BZDURA GADA:

Jak przecie kużdemu wiadomo, Poniezus stworzył w raju człowieka i dał mu do towarzystwa drugie stworzenie, a nazwał je Jewa. A bez co ona się tak nazywała, to przecie także wiadomo. Bo jak ten człowiek sam był i sam jad, to powiadał: jadam. I jego też latego nazywamy: Jadam. A jak przysła ona do jego towarzystwa i wybirała mu kluski z misecki, to wtencas jedli oboje i powiadali se: jewa. I bez to ona się wołała: Jewa.

Tak tedy był najprzód w raju jeden człowiek i jedna Jewa, póki jem Poniezus nie dał dziecek. A jak przysły dziecka i rosły a rosły, tak Jewa także chciała być człowiekiem. Ale Jadam się na to nie chciał zgodzić, bo powiadał: Jakby Poniezus chciał był mieć dwóch człowieków, toby se był odrazu dwóch stworzył i byłby miał dwóch, bo cy mu to tak trudno było. Ale chciał mieć jednego, to se jednego z gliny ulepił, a potem przydał mu Jewę, coby się mu nie przykrzyło. Ale Jewie się to nie podobało, żeby była ino takiem chłopskiem przycynkiem, więc jak Jadam posed na grzyby do lasu, tak ona powiada do Pana Jezusa, co chce być chłopu równa i w nicem mu nie ustępować. Roześmiał się Poniezus na głos i powiada:

— Tak ja przecie chciał la ciebie lepiej, chciałem cobyś była ino towarzyszką la chłopa, cobyś jego dzieci bawiła i śmiała się do niego, jak on będzie smutny. Ale kiedyś taka chciwa, to bądźże mu już równa.

Myślałby kto, że jak już tak Poniezus z byle cego zrobił drugiego człeka, to ten człek będzie mu wdzięczny. Kto insy może, ale baba gdzieby tam. Babę smaruj miodem, to ona zawse dziegciem śmierdzi. Tak tedy i Jewa powiada:

— O wa wielgie mycyje być takiem samem człowiekiem, jak byle jaki chłop. Jabym chciała być od niego jesce lepsiejsa.

Ale Poniezus roześmiał się ino na cały głos i powiada:

— Pozwól kurze grzędy, to ona zechce także i gdzieindziej.

Ale jak go zacęła Jewa molestować, jak zacęła sklamrzyć, tak Poniezus powiada:

— Kiedyś już taka uparta, to ja ci dam taki przywilej, którego żaden chłop miał nie będzie: będzies matką wszyćkiem ludziom, jakie ino będą do końca świata. Będzie to boleść la ciebie wielga, ale i uciecha okrutecna. I od ciebie ino będzie zależeć, jacy będą ludzie w przysłości.

Ułapiła Jewa Pana Jezusa za nogi i okrutecnie mu dziękowała za takie wielgie dobrodziejstwo.

Za parę miesięcy jakosik Jadam wybrał się na polowanie i bez parę tygodni nie przychodził do chałpy. A kiedy wrócił z polowania i wlaz do izby, którą właśnie Jewa zamiatała, ujrzał że coś się pod pierzyną rusa i co trocha piscy, a piscy. Pyta się Jewy, co to jest takiego, a ona mu powiada, że znalazła w lesię niedźwiadka małego, którego zimno okrutecnie telepało, tak wziena go do izby, aby się trochę zagrzał i wsadziła pod pierzynę. Chciał Jadam wziąć tego niedźwiadka za nogi i smyrnąć nim na pole, ale Jewa skocyła do niego z pazurami i pada:

— Jak będzies miał swoje, to se je będzies na pole wystrzeliwał. Ale od tego ci wara.

Za kilkanaście miesięcy znowu jakosik niespodziewanie znalaz się w chałupie drugi pędrak. I tak się powtarzało co roku, jaz się tego uzbierało pół tuzina. Było już tego Jewie zadużo, więc leci do Pana Jezusa i pada:

— Moiściewy! Ja już tego mam dość; niechby teraz tak znowu Jadam trochę popróbował.

Ale Poniezus się nie zgodził na to i powiada:

— Mas to, cegoś sama chciała. Wydaje ci się to wielką krzywdą, ale to jest błogosławieństwem mojem. Ino teraz te pędraki dobrze wychowaj, a będzies miała z nich okrutecną pociechę.

I latego też odtąd tak jest, że baba jest nietylko chłopu równa, ale go jesce przewyzsa, bo nietylko dziecka z lasu do chałpy znosi, ale tak je chowa jak sama ino chce. Jak się trafi cas taki, że baby dbają o swoich pędraków, to wtencas la wszyćkich jest lepiej na świecie. Ale jak baba ino o sobie myśli, a o tych znalezionych robackach zapomina, to i na świecie źle się dzieje. Bez to też na świecie tak jest, jak baba chce i bez to ona jest nietylko człowiekowi równa, ale jesce go przewyżsa.

KLEMENS JUNOSZA.

Abraham Pinkt i Marcin Sikora.

II.

We wsi Kurkach, nieopodal lasu położonej, w chacie na samym skraju błysnęło światełko. Przez małe okno o czterech szybkach można było dostrzedz sylwetkę człowieka, uwijającego się po izbie przy jaskrawem, migocącem świetle łuczywa. Człowiek ten wdział na siebie sukmanę, przepasał się rzemieniem, włożył czapkę na głowę, wyciągnął z za pieca krótką strzelbę, i zagasiwszy ogień na kominie, wyszedł z domu.

Zawiejka ustała, śnieg już nie padał, księżyc ukazywał się chwilowo, to znów skrywał się w szarych



Idzie Mateusz rozmyślając.

chmurach. Było już późno. W którejś chacie kur zapiał; za nim odezwał się drugi, trzeci, dziesiąty, i odgłos tego piania, niby hasło czuwających stróżów nocnych, po wsi się rozlegał. Człowiek z krótką strzelbą na ramieniu nie udał się drogą przez wieś, lecz zaraz, za chatę swoją wyszedłszy, zwrócił się w pole i dążył pewnym krokiem w stronę lasu. Ciemno było, zadymka zatarła wszelkie ścieżki i pozawiewała brózdy, ale człowiek ów szedł śmiało, pewno, jak gdyby o południu. Mogło się zdawać, że ciemności nie istnieją dla niego, że idzie na pamięć.

Nie było w tem nic dziwnego. Mateusz Sikora w tej wiosce się urodził, w tej okolicy blizko sześćdziesiąt lat przeżył; znał prawie każde drzewo w okolicznych lasach, każdy krzak, kamień, rów. Przez bagna dla nikogo niedostępne potrafił przechodzić suchą nogą, po kępach, pniach nawpół spróchniałych, kłodach drzew, od niepamiętnych czasów przez burze zwalonych. Rzeka ani jezioro nie miały dla niego tajemnic — znał wszystkie brody, mielizny, głębie. Wiedział, gdzie raków szukać, gdzie wędy zarzucić, gdzie więcierze lub bębenki zastawiać. A i myśliwy był z niego znakomity — szedł do cudzego lasu jak do własnej śpiżarni i brał co chciał i co mu było potrzeba. Strzelbę nosił z sobą, ale używał jej rzadko — wołał polować po cichu, żeby i prochu nie marnować i hałasu niepotrzebnego nie robić. Na lisy miał trutkę, na zające wnyki, ptactwo w sidła brał, lub innymi sposoby, a zawsze zręcznie, cicho, nieznacznie. Nie chwalił się talentem swoim, rozgłosu unikał — a ile zwierzyny, ile skórek w swem życiu sprzedał, o tem Abram Pinkt mógłby dużo powiedzieć...

Mateusz umiał nawet i obstalunki załatwiać. Ileż to razy zgłaszali się do Abrama różni panowie z miasta, żądając kuropatw, zajęcy, czasem nawet sarny — na dzień oznaczony. Abram przyrzekał, że będzie — i szedł, jak w dym, do Mateusza. Mateusz przyrzekał, że dostarczy — i szedł, jak w dym, do lasu... a zawodu nigdy nie zrobił. Słowny chłop — można było na jego zapewnieniu polegać — i z tej przyczyny w mieście doskonale wiedziano, że słowo Abrama, w razie potrzeby, znaczy zupełnie to samo, co zaduszony zając...

Z powierzchowności Sikora wcale na wielkiego myśliwca nie wyglądał — był chłop niepokaźny, nizki, krępy, o twarzy wygolonej, nie zdradzającej ani inteligencji, ani sprytu; tylko w małych, czarnych oczach jego malowało się życie i przebiegłość. On od tylu lat ścigał zwierzynę i sam nieustannie był ścigany od ludzi, którzy o własności wyrobili sobie najdziwaczniejsze pojęcia. Gdy Mateusz tropił zwierzynę, jego samego tropili gajowi, leśniczowie, nadleśni... Umiał ich jednak unikać. Borsuk nie potrafił tak zręcznie skryć się w jamie, zając nie umiał tak przycupnąć w podorywce, jak Mateusz wywijał się swoim prześladowcom.

I za co go prześladowali? Za co grozili mu karami, sądem, a niekiedy nawet dobrym nabojem śrótu?

Musimy się zapoznać bliżej z Mateuszem. Niebogaty człowiek to był. Miał całej fortuny dziewięć morgów, z serwitutem na lesie i na ugorach; miał stodołę, oborę i zwykłe chłopskie obejście, konia, kilka sztuk bydła, trochę gadziny... Dla jednego byłoby to aż nadto, ale Mateusz nie był jeden. Nie licząc dozgonnej towarzyszki życia, miał dwóch synów, dwie synowe, córkę i zięcia. Wszystko to siedziało na owych dziewięciu morgach, chciało jeść dobrze, ubierać się, a nawet i pieniądze składać — bo już taka ludzka natura: jak kto ma grosz, to chce dwóch, — ma dwa, żąda pięciu, a potem mu już i tysięcy mało.

Mateusz gospodarstwo dzieciom oddał, a sam przemysłem własnym żył — tyle, że mu od czasu do czasu jeść dali w chałupie. I tam co prawda rzadkim gościem bywał. Czasem na dwa, na trzy dni znikał, nie wiadomo, gdzie się podziewał. Gospodarstwa nie lubił, głównie polowaniem się trudnił; czasem w dobrej kompanji po drzewo do cudzego lasu się wybrał sosenkę lub dębczaka tak cicho wywiózł, że straż nie domyśliła się wcale; czasem znów puszczał się w drogę na dłużej, w dalsze okolice, a co tam robił — tego nikt nie wiedział i nie domyślał się nawet. Mateusz ani czytać, ani pisać nie umiał, obce mu były również wszelkie cyfry, ale z rachunkami dawał sobie radę. Robił kozikiem różne znaczki na kiju, a takie akuratne i dokładne, że nawet Abram Pinkt, który w buchalterji kredą na szafie bardzo był biegły, nigdy Mateusza w pole wyprowadzić nie mógł. Chłop ząb za ząb się kłócił i zawsze żyda przekonał. Najczęściej wynikały spory przy rachunkach za kwiczoły, jemjołuszki i wogóle drobne ptaszki. Abram mówił:

— Słuchajcie, Mateuszu, we wtorek był jeden mendel i trzy ptaszki, we czwartek jeden ptaszek i dwa mendle... to razem dwa mendle i pięć...

Mateusz uśmiechał się tylko.

— No mówię wam wyraźnie: dwa mendle i pięć sztuk... Co więcej żądacie?

— Nic... jeno mi Abram zapłać, co się należy.

— Owszem, zapłacę.

— To liczcie jeszcze raz.

— We wtorek mendel i trzy.

Mateusz spojrzał na swój kij, policzył palcem karby, kiwnął głową i rzekł:

— No, tak.

— We czwartek — mówił dalej Abram — jeden i dwa mendle.

Mateusz znów spojrzał na kij.

— Juści — rzekł, — dwa i jeden. Sprawiedliwie...

— Ja zawsze sprawiedliwy jestem... i dlatego zapłacę wam za dwa mendle i pięć ptaszków.

— Nie, Abram zapłaci za trzy mendle i cztery ptaszki.

— Za ile? za ile?

— Za trzy mendle i cztery...

— Dlaczego?

— Bo tak stoi na kiju.

— Nie ,ja wam zapłacę za dwa mendle i pięć, bo tak stoi na szafie:

— Ja biorę podług kija...

— Co to za gadanie! niby to wasz kij ma być mądrzejszy niż moja szafa...

— Bo i nie co.

— Wy macie źle w głowie, Mateuszu.

Chłop obojętnie przyjmował takie wymówki, a gdy się trochę zniecierpliwił, mówił z pozornym spokojem:

— Abramie, czy wy macie całe kości?

— Co to za głupie pytanie!

— Tedy radzę po dobremu zapłacić ile się patrzy, bo mogę wpaść w gniew i przetrącić wam jaki gnat!...

— Stary rozbójnik Tfy!...

— Stary cygan!

Często zdarzały się takie sprzeczki, ale ostatecznie kończyły się zgodnie. Chłop oszukać się nie dał i Abram płacił co się należało. Cóż miał robić? Z natury handlu, jakiemu się oddawał, wielce cenił dobry i stały stosunek ze znakomitym tępicielem zwierzyny; musiał mu nawet pochlebiać, częstować go niekiedy, a w potrzebie i drobnym kredytem wygodzić. Specjalność, jakiej się Mateusz oddawał, nie była łatwą. Tropił ciągle i sam był tropionym, co wymagało wielkiej przytomności umysłu, bystrego oka i ucha. To też wyrobił sobie wzrok koci, a słuch zajęczy; jednak, mimo tego, dostawał się niekiedy przed kratki sądowe i kilkakrotnie w kozie siedział. Pierwszy raz trzy, potem miesiąc, ostatnio dwa...

I za co?

Za to tylko, że sędziowie mieli dziwaczne pojęcia o własności... i nie mogli zrozumieć, że co innego ukraść, a co innego wziąć...

Bywają takie twarde głowy!

Mateusz nieraz zastanawiał się nad tym szczególnym objawem nieudolności ludzkiego umysłu. Dlaczego lada kto rozumie, że co innego jest młócić, a co innego strzelać, co innego orać, a co innego gwizdać, a „wziąć“ i „ukraść“ biorą za jedno!

Aczkolwiek prosty chłop i niepiśmienny, Mateusz przecież coś rozumie — zdaje mu się nawet, że dużo rozumie. Nieraz, mając czas wolny, położy się w polu pod krzakiem, albo zimową porą w izbie na przypiecku, i myśli. Myśli o zwierzynie, ptakach, sidłach, a wreszcie i o sobie samym, o nieustannym zatargu z tymi, którzy go śledzą i tropią, jak dzikiego zwierza. Jest na świecie dużo rzeczy niezrozumiałych... Abram, na przykład, nie może zrozumieć, dlaczego wolno zabić zająca w grudniu, a nie wolno w maju; dlaczego w pewnym okresie czasu zabity zając jest przedmiotem wolnego handlu i może być sprzedany tak jak jest; w inym znów ma koniecznie mieć pieczęć lakową na uchu... a jeszcze w innym okresie staje się kontrabandą, którą zabierają, konfiskują, jak defraudowaną wódkę lub szwarcowany tytuń.

Abramowi to się w głowie nie mieści!... boć przecie dla zająca jest wszystko jedno, czy zostanie zjedzony w tym lub owym miesiącu, czy po śmierci będzie miał opieczętowane ucho, czy nie... On zapene wolałby żyć i nie spotykać się nigdy ani z Mateuszem, ani z Kogucińskim, ani z tymi panami, co urządzają sobie polowania dla zabawki...

Myśli, zaprzątające Mateusza, są cięższe, poważniejsze, a co prawda i trudniej rodzą się w mózgu, niż myśli Abrama... Żyd, jak żyd — do spekulacyj wszelakich ma dar, kombinuje szybko; w chłopskiej głowie idea obraca się powoli, niby koło ciężkiego wozu w piasku... pojęcie urabia się z trudnością, rośnie jak drzewo, wolno, po troszeczku, — ale też zato, jak się urobi, wyrośnie, jak korzenie zapuści, to już go ani naruszyć, ani wyrwać; trwałe jest jak mur, niewzruszone jak skała...

Mateusz idzie ku lasowi zadumany — bo i ma o czem.

Za kilka dni wypada mu stawić się do sądu — i o co? o głupi dąbek, wywieziony nocną porą, cichaczem. Ze sprawy nie będzie nic, bo za rękę nie złapali, dowodów niema, a poszlaki niewiele znaczą... Koguciński za świadka ma stawać — ale, choć przed ludźmi za Mateuszowego wroga uchodzi, w gruncie za jedno z nim trzyma... i sam zresztą nie jest czysty jak szkło... Koguciński sprawy nie popsuje, ale trzeba się z nim porozumieć, naradzić, żeby niby oskarżał, a w rzeczywistości bronił, mówił i tak i siak, i to i owo, a jedno żeby się drugiego nie trzymało. Wreszcie i Abram będzie za świadka podany, ażeby zeznał, że tej nocy, podczas której dąbek skradziono, Mateusz w miasteczku był i właśnie u Abrama nocował. Dziesięciu żydków to widziało i w razie potrzeby mogą zaprzysiądz...

Sędzia będzie na to zeznanie głową kiwał — niech sobie kiwa; głowa należy do niego i wolno mu z nią robić co chce; ale kiwanie prawdy nie wzruszy...

Powiadają, że dąbek ukradziony nocy czwartkowej i oskarżają o to Mateusza — a przecież faktem jest, że Mateusz sprzedał w miasteczku jakiś dąbek we czwartek i tego dnia nie powracał do domu, lecz nocował u Abrama. To jest prawda sprawiedliwa; różnica może być tylko w definicji, która właściwie noc jest czwartkowa; czy ta, co idzie po środzie i poprzedza czwartek — jak myśli sędzia; czy ta, co idzie po czwartku i poprzedza piątek — jak sądzi Abram i jego przyjaciele. Wolno sędziemu myśleć inaczej, ale rację ma Abram.

Dlaczego? Dajmy na to, że kobieta stała się wdową i powtórnie wyszła za mąż. Któż jest jej mężem; czy ten, co przeszedł, przeminął i nie jest; czy ten, który żyje? Oczywiście ten drugi... Tak samo i noc nie mogła należeć do czwartku, który jeszcze nie istniał... Możnaby w tem dowodzeniu, chcąc przedmiot do gruntu wyczerpać i wszechstronnie go zbadać, odwrócić kota ogonem i przedstawić rzecz z innej strony, naodwórt i jeszcze raz naodwrót — ale w danym przypadku nie idzie o dysputę, tylko o sąd... więc można poprzestać na skróconej procedurze myślenia...

Wobec takich świadków i wobec Kogucińskiego, Mateusz nie lękał się sądu, ale przykra mu była mitręga, włóczenie się, strata czasu. Tej nocy, na taką niepogodę, wolałby spać, aniżeli iść do Kogucińskiego; ale trudno — w kozie siedzieć nie rozkosz... lepiej wnyki na zające zastawiać, lub lisy truć...

Idąc, rozmyślał — czuł się obrażonym. Zapozwano go o kradzież ,to znaczy, że pośrednio nazwano go złodziejem — a on przecież złodziejem nie jest... i nigdy nim nie był. W Boga wierzy, pacierz mówi, dziesięcioro przykazań umie na pamięć. Wie, że siódme przykazanie głosi: „nie kradnij" — i on nie kradnie. Nie wyprowadził nocą konia ze stajni, nie sięgnął do cudzej kieszeni, nie wyniósł cudzego zboża ze śpichrza, nie wyłamał zamków, nie rozbił cudzej skrzynki, ani kufra — i nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek!

I znowuż ta niezrozumiana przez ludzi różnica pojęć...

Mateusz zastanawia się i pyta sam siebie:

Czy jest złodziejem ten, kto pije wodę z cudzej studni? — Nie.

Czy jest złodziejem, kto odpoczywa w cieniu przydrożnego drzewa? — Nie.

Czy człowiek zbierający grzyby lub jagody w boru cudzym jest takim samym łotrem, jak ów, co kradnie gospodarzom konie? — Nie. Siódme przykazanie powiada: „nie kradnij..." — ale nie mówi: „nie bierz".

Mateusz, gdyby go zaproszono na konferencję i kazano mu wymotywować szczegółowo swoje poglądy, nie wywiązałby się z zadania. Co najwyżej, podrapałby się w głowę, przestąpił parę razy z nogi na nogę i uśmiechnął się z politowaniem nad ignorancją swych przeciwników...

Bo i czego oni właściwie chcą?

Zabrać komu bicz z fury — to znaczy ukraść, zerwać grzyb w lesie — to znaczy wziąć. Bicz kupił właściciel od żyda na targu i zapłacił, jak wiadomo, trzy grosze; grzyb wyrósł z ziemi sam, z woli Bożej, nikt za to grosza nie dał... Sądy tego nie rozumieją... podług nich wszystko jest kradzieżą; a czy kto bierze tylko, czy kradnie, nazywają go jednakowo złodziejem...

W tem właśnie krzywda i niesprawiedliwość.

Idzie Mateusz, rozmyślając o tem, idzie, nie patrząc na drogę, którą na pamięć zna... idzie szybko, bo mu zimno, bo wiatr dojmujący dmie przez sukmanę, przez kożuch, wierci jak świderkiem, aż do kości...

Taki najgorszy. Lepiej w trzaskający mróz wędrować, niż podczas wiatru.

Już jest las — jeszcze kawałek do chaty Kogucińskiego, najwyżej pół godziny drogi. Trzeba pośpieszyć.

Stary wyga Kogut, przez grzeczność Kogucińskim nazwany, choć jego dziad i pradziad Kogutem po prostu się zwał, ma różne sposoby na rozgrzanie. Drzewa nie kupi — więc piec u niego w izbie zawsze gorący, a i flaszę niejedną chowa w ukryciu... Taki ma życie porządne. Pensja go dojdzie, ordynarja, fantowe, a i za skórki coś kapnie... Słowem pan — i nie goni go nikt, po sądach nie włóczy, wyrokami nie trapi, kozą nie grozi...

Śnieg ścieżki pozawiewał, ale to dla Mateusza głupstwo. Idzie śmiało, nie pyta — byle prędzej pod dach, do ciepłego pieca, do flaszy... Wiatr szkaradny z każdą chwilą się wzmaga... szczęśliwy, kto nie potrzebuje domu w takiej chwili opuszczać!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zmartwychwstała.

II.

Im kto szczęśliwszy, tem mniej spostrzega, jak szybko czas uchodzi. Pan Ignacy z Marją czuli się bardzo, bardzo szczęśliwymi. Sześć lat od owej pamiętnej nocy, kiedy Marję wniesiono w dom lekarza, minęło prawie niepostrzeżenie.

Młody małżonek czuł się rzeczywiście szczęśliwym, gdyż Marja z wdziękami ciała łączyła najpiękniejsze przymioty duszy. Cicha, łagodna, kochała męża nadewszystko, i tylko w jego towarzystwie czuła prawdziwe szczęście. Jej dom był dla niej całym światem, tak że z trudnością dała się czasem mężowi namówić do przechadzki.

Dom pana Ignacego nie był dla nikogo zamkniętym, ale mimo tego nikt go nie odwiedzał. Marja zwykle się nie pokazywała, a lekarz zajęty obowiązkami swego stanu, do przyjmowania gości czasu nie miał. Z tego powodu owe sześć lat spędzili szczęśliwi małżonkowie sam na sam w szczęściu i miłości.

Kiedy przyszła do zdrowia i kiedy umysł jej na nowo w całej pełni się rozwinął, pan Ignacy opowiedział jej wszystko bez ogródki, sądząc, że może w jej pamięci chociaż drobne jakie pozostało wspomnienie z życia przed popadnięciem w letarg. Ale to wszystko naprózno.

Dziś była właśnie szósta rocznica ożywienia Marji. Lekarz zabierając się do wyjścia i patrząc z lubością na ukochaną, piękną kwitnącą istotę, rzekł czule:

— Maryniu bądź zdrowa, wnet wrócę. Pamiętasz, jaka rocznica?

— Pamiętam, że cię kocham! — zawołała serdecznym głosem, rzucając się mężowi na szyję.

On ją do siebie przytulił, na usta koralowe złożył gorący pocałunek, a potem wyszedł ku dopilnowaniu swych obowiązków. Jeszcze go pocałunek palił, jeszcze czuł miękki uścisk, gdy nagle na ulicy jakaś osoba go wstrzymała.

Ignacy mając głowę czem innem zajętą, spojrzał tylko przelotnie, i chciał iść dalej.

— Cóż to? czy mnie nie poznajesz? — odezwał się obcy.

Lekarz spojrzał bystrzej.

— Ach! toś ty, Adamie! — zakrzyknął radośnie — witaj mi, witaj!

I nie bacząc na tłum uliczny, uściskali się obaj mężowie, gdyż to byli szkolni koledzy, najserdeczniejsi przyjaciele. Od wielu lat się już nie widzieli, stąd ich radość z tak przypadkowego i niespodziewanego spotkania nie miała granic.

Oczywiście na ulicy nie dało się wiele mówić, zwłaszcza, że obaj mieli swe obowiązki pilne, konieczne do załatwienia. Z tego powodu Ignacy zaprosił swego przyjaciela na wieczór do siebie na wieczerzę i pogadankę, na co tenże przystał i obiecał stawić się w umówionym czasie.

Pan Ignacy wracając do domu, uśmiechał się po drodze, ciesząc się już naprzód, jakie piękna postać jego małżonki zrobi wrażenie na przyjacielu, któremu o swem ożenieniu umyślnie nic nie powiedział. Każdy bowiem do tego czasu, który ją po raz pierwszy ujrzał, stawał jak oczarowany.

Jednakże na wrażenie, jakie Marja wywarła na Adamie, Ignacy wcale przygotowanym nie był. Przy przedstawieniu żony i odwrotnie przyjaciela, ten zapomniał języka w gębie, tylko oczy rozwarł jak szeroko, zbladł jak ściana, a potem zaczerwienił się, jak gdyby mu napad paraliżowy zagrażał. Kiedy pierwsze wrażenie minęło, chciał widocznie coś mówić, ale nie

mógł, tylko wzrokiem obłąkanym mierzył to Marję, to jej męża. Właśnie dano znak do stołu. Adam podał ramię Marji, aby ją przeprowadzić, lecz ta już uchwyciła ramię Ignacego. — Jeśli Marja nie uważała, że Adam oka z jej twarzy nie spuszcza, to tem więcej uważał na to Ignacy. Adam właściwie nie jadł, tylko mając oczy wlepione w gospodynię domu, trzymał mechanicznie nóż i widelec, lub bezmyślnie skrobał nimi po próżnych talerzach. Im dłużej trwało, tem wzruszenie jego stawało się widoczniejszem, a wkońcu drżeć począł, i nóż wypadł mu z ręki.

Marja tego nie widziała, Ignacy za począł żałować, że przyjaciela w dom swój wprowadził. Sądził on, że przyjaciel rozkochał się nagle w pięknej jego żonie, i to tak gwałtownie, że nawet w obecności małżonka uczucia swego pohamować nie umie.

Ku końcowi wieczerzy wzruszenie Adama doszło do najwyższej potęgi. Zerwawszy się poprosił Ignacego do bocznego pokoju.

— Czyś ty chory? — zapytał lekarz, gdy się znaleźli sami.

— Ach! chory! — jęknął Adam — chciałbym, żebym był raczej umarłym!

To rzekłszy upadł na siedzenie i ukrył twarz w dłoniach.

— Na Boga! — zawołał Ignacy — mów co ci braknie!

— Nie miej mnie czasem za szalonego — jęczał dalej Adam — lecz podobieństwo twej żony do mojej żony zawodzić mnie nie może.

— Ach, nie wiedziałem, żeś żonaty.

— Byłem żonaty — ciągnął dalej Adam — i to właśnie grozi mi pomieszaniem zmysłów. Ośm lat temu poślubiłem nadobną Wandę, której portret ujrzałem w twarzy i postaci twej żony. Dwa łata żyłem z nią, a pożycie nasze było rajskiem, a potem mi umarła! Tak umarła — dodał po małej chwili — i to w czasie, kiedy mnie w domu nie było. Gdy na wieść o śmierci mej małżonki przybiegłem, pokazano mi już tylko jej świeżo usypaną mogiłę.

Nogi pod Ignacym zachwiały się.

— Jak to dawno — rzekł głosem ochrypłym, — kiedy twa żona umarła?

— Dziś właśnie sześć lat mija po jej pogrzebie — odrzekł jękliwie Adam.

— Sześć lat !— jęknął także Ignacy i urwał, gdyż mu głosu zabrakło.

— Tak, sześć lat — mówił dalej Adam — sześć smutnych dla mnie lat po stracie anioła, który mi życie ziemskie w raj zamienił, chociaż krótki. Oblawszy łzami jej grób, musiałem udać się w inne strony, ale mego anioła nie zapomniałem. Teraz po sześciu latach znajduję go w postaci twej żony, serce moje zakrwawiło się na nowo, a boleść tak mi pierś ściska, że gotówbym zakrzyknąć.

Ignacy blady jak trup, słuchał tej rozmowy, a potem schwyciwszy rękę przyjaciela, uścisnął ją kurczowo.

— Na Boga, Adamie — zawołał dławiąc się, nie czyńmy nic bez rozwagi. Otworzymy grób twej żony...

I urwał, bo głosu mu nie stało, a oczy krwią zaszły

Adam spojrzał na lekarza, i w części zrozumiał już co zaszło.

— Powiedz mi! — krzyknął przeraźliwie — wszakże to moja żona! Skąd ją masz? Ale powiadaj szybko, dopóki będę cię mógł słuchać. W mej głowie szumi i huczy, jak wodospad... więc...

Nie dokończył, tylko omdlały runął u stóp skamieniałego lekarza.

III.

Ignacy nie miał siły, aby przyjść z pomocą swemu przyjacielowi. Serce jego było również skrwawione, a może i więcej. Ten przynajmniej był o tyle szczęśliwszym, że omdlenie odebrało mu chociaż na chwilę przytomność, a on...

Adam wnet odzyskał przytomność.

— Przyjacielu! — zakrzyknął, nie męcz mnie dłużej! powiedz skąd się ona wzięła u ciebie?

Wtedy Ignacy opowiedział, jako ją rozbójnik cmentarny przyniósł i jako się wykazało, że tylko w letargu była pogrążoną.

— Moja żona! — jęknął Adam.

— Jam jej życie uratował — jęknął również Ignacy.

— Wszystko jedno — zawołał Adam — to jest moja żona, żądam jej napowrót.

— Zaczekaj! — wrzasnął Ignacy — zobaczymy — otworzymy grób, czy pusty...

— Nie czekam ani chwili — była odpowiedź — niema wątpliwości, więc...

— O Boże, ale ona nieszczęśliwa.

— Jam nieszczęśliwy!

— Ona cię nie pamięta.

— Ha, poproś tu Wandę.

— Marja jej przecież imię.

— Nie, Wanda! Poproś tu ją, zanim oszaleję. Nie podobna, aby miała całkiem mnie zapomnieć.

Chwiejącym krokiem poszedł Ignacy ku drzwiom i zawołał na żonę. Na głos ukochanego męża przybiegła natychmiast Marja, i stanęła niby anioł pokoju pomiędzy dwoma złymi duchami. Ujrzawszy ponure twarze obu mężczyzn, rzuciła się z okrzykiem przerażenia na szyję Ignacego.

Ten jednakże po raz pierwszy odsunął ją od siebie.

— Marjo! — rzekł ponuro, ale stanowczo — powiedz mi i temu panu, czy w samej rzeczy nie przypominasz sobie nic a nic z życia twego przed pogrążeniem w letarg?

— Nie — odrzekła zdziwiona — wszakże ci o tem już wiele razy powiadałam.

— Przysiąż! — zakrzyknął nagle Adam.

— Przysięgam na Boga i miłość mego męża — odrzekła poważnie Marja.

Tu już Adam nie mógł wytrzymać. Rzuciwszy się na ziemię, objął kolana Marji.

— Wando! — wykrzyknął ze łzami — nie podobna, żebyś miała mnie, twego męża całkiem zapomnieć, z którym dwa lata żyłaś tak szczęśliwie! O Wando! najdroższa Wando!

Przerażona Marja odskoczyła i przytuliła się do Ignacego.

— Co znaczy ta komedja? — zawołała drżącym głosem. — Mężu, każ odejść temu człowiekowi.

Adam zerwał się z ziemi.

— Puszczaj ją — krzyknął gromko — albo zapomnę, żeś przyjacielem i nie ręczę za siebie!

— Adamie! — odrzekł blady Ignacy — Bóg świadkiem, że żadnego nie pominę środka, aby jej ciebie przypomnieć. Lecz Adamie, jeśli sobie ciebie nie przypomni, pomyśl, żem jej życie uratował... sześć lat temu...

— To mów z nią — wyrzekł ochrypłym głosem Adam, podczas gdy Ignacy żonę odprowadzał na siedzenie — może ona ci uwierzy, a przynajmniej wysłucha...

Życzenie to było bardzo okrutnem, Ignacy jednakże nie mógł się od niego wymówić.

— Marjo — rzekł — przecież musiałaś żyć około dwadzieścia lat, zanim dostałaś się do mnie.

— Nie pamiętam — była odpowiedź.

— Ale uwierzywszy — ciągnął dalej Ignacy — że tak być musiało, gdyż wtenczas byłaś dorosłą.

— Ależ, Ignacy, ja nic nie pamiętam, ani nie mam żadnych pamiątek z mej przeszłości.

Tu Ignacy zwrócił się do Adama.

— Słyszałeś sam — rzekł — przestańmy nieszczęśliwą dręczyć.

— Oddaj mi żonę — wrzasnął Adam rozkazująco.

— Przecież nie będziesz ją brał bez jej woli!

— To jej powiedz o stanie rzeczy.

Ignacy zadrżał, lecz stosując się do życzenia, opowiedział jej w krótkich słowach, o co chodziło.

Marja zbladła.

— Och mężu! zawołała z płaczem, rzucając się Ignacemu na szyję — gdy ty to powiadasz, to musi być prawdą. Lecz ja o niczem nie pamiętam, a kocham tylko, tylko ciebie!

Krew w żyłach Adama zawrzała z piekielnej zazdrości.

— Oddaj mi żonę! — wrzasnął namiętnie i pochwycił Marję za rękę.

— Ja kocham tylko ciebie! dosłyszał jeszcze Ignacy. Ale w tej chwili zaciemniło mu się w oczach i runął z głośnym łoskotem omdlały na ziemię.

Omdlenie długo trwać musiało, bo światła się już dopalały, kiedy Ignacy przyszedł do przytomności. W pokoju nikogo nie było. Żona jego znikła... zapewne ją Adam uprowadził!

Ach! któż opisze stan jego duszy!

Zrozpaczony rzucił się na łoże i popadł w pewien stan letargu, gdzie człowiek czuje wszystko, a jednak znajduje się w sennej niemocy. Jak długo to trwało, któż zgadnie?

Nad ranem Ignacemu zdawało się, że słyszy lekkie pukanie do swej komnaty. To wyrwało go z sennego omdlenia. Uniósł się, ale wszystko ucichło. Sądząc, że się przesłyszał, znowu padł na łoże... i znowu słyszy we śnie pukanie...

Ale gdy się podniósł, głucha panowała cisza. I znowu się ułożył, i znowu tajemnicze pukanie.

Teraz powstał, otworzył drzwi i dwa okrzyki się rozległy, Ignacego i Marji, która we drzwiach padła w jego objęcia, omdlała, zwisła.

Ignacy szybko zaniósł drogi ciężar na kanapę, aby przyjść z pomocą.

Ale Marja już nie żyła...

Koniec.

Poradnik gospodarczy.

Wartość jarzyn ocenia się dopiero w zimie w całej pełni. W lecie, gdy targi zabite wprost jarzynami, nie można uzyskać za nie odpowiednich cen, ale w zimie zapotrzebowanie dobrze przechowanych jarzyn jest ogromne.

Chcąc przechować jarzyny przez zimę, musimy mieć odpowiednie do tego piwnice. Muszą one być suche i zabezpieczone przed zimnem. Mokre piwnice są nieodpowiednie do tego celu, gdyż w nich jarzyny szybko się psują.

Jarzyny, mające duży korzeń jak marchew, pietruszka dobrze przechowujemy, układając je w suchym piasku warstwami w ten sposób że najniższą warstwę układamy na warstwie piasku, a na nim dopiero kładziemy warstwami jarzyny, uważając, aby najdrobniejsze układać brzegiem czubkami na zewnątrz zaś gorszą układamy do środka. Każdą warstwę przysypujemy suchym piaskiem, tak, aby jarzyny dobrze przykryć; na to układamy następny szereg i w ten sposób tworzymy w piwnicach stożki z jarzyn. Przed ułożeniem należy jarzyny starannie obrać ze starych liści, zostawiając tylko 3 do 4 najmłodszych listków. Zimujemy okazy tylko zupełnie zdrowe wszelkie zranione lub nadpsute zostawiamy do codziennego użytku. Jarzyny przed ułożeniem muszą być zupełnie suche. W tym celu po wyrwaniu ze ziemi i oczyszczeniu należy je zostawić na wolnem powietrzu, aby obeschły.

W zimie piwnicę należy przewietrzać, aby zawsze jarzyny miały świeże powietrze — wtedy przechowują się zdrowo. Pamiętać należy, aby nie przewietrzać piwnic w czasie mrozu, gdyż przed mrozem należy chronić jarzyny przez dobre okrycie.

W podanym powyżej sposobie przechowuje się dobrze jarzyna i zawsze gotowa do sprzedaży lub użycia. Jeżeli chcemy mieć przez całą zimę świeżą pietruszkę lub selery, to przechowujemy ją podobnie tylko bliżej okna, wskutek tego wypuszcza z wierzchołków młode listki, które używamy do potraw przez zimę. Jeżeli chcemy większą ilość przechować tak, aby mieć na sprzedaż dużo listków zielonych, postępujemy w ten sposób, iż do skrzyni lub paczki ale dosyć głębokiej n. p. inspektowej nasypujemy suchego piasku i wsadzamy pietruszkę i selery tak, aby się niedotykały ale były dobrze osypane piaskiem, skrzynię nakrywamy dobrze suchymi liśćmi przed mrozem, zaś boki obsypujemy dobrze ziemią. Trzeba bardzo uważać, aby pod skrzynię nie zaciekała woda z deszczu lub tającego śniegu.

Z nastaniem silnych mrozów możemy okryć to jeszcze nawozem.

Buraki ćwikłowe zimują dobrze w zwykłych dołach, a nawet dają się przechowywać w kopcach, jak kartofle.

Ważny produkt handlowy przedstawiają w czasie zimy kalafjory, które przechowujemy, iż późną jesienią ucinamy łodygę kilka ctm. pod różą, (środkiem) starsze liście obłamujemy zostawiając tylko wokoło róży. Róże obwijamy papierem naoliwionym, który przywiązuejmy do kłącza, i kładziemy w miejscu chłodnem, ale nie mroźnym na słomie i tak zimują dobrze.

Dobrze przechowują się również zawieszone w piwnicach głowami na dół tak, aby nawzajem się nie dotykały. Przed użyciem czy wyniesieniem na sprzedaż należy odciąć szczerniałe części nożem, włożyć na 48 godzin do zimnej wody przez co kalafjory odzyskują białość utraconą przez zimowanie.

Kapustę zwyczajną, włoską, czerwoną, brukselską przechowujemy w suchej piwnicy obierając i ze starych liści i obcinając korzenie, i wsadzając uciętym kłączem w piasek tak, aby jedna drugiej nie dotykała, lub możemy je wieszać jak kalafjory. Można także kapustę ułożyć w rowie wykopanym w piasku w ogrodzie i zasypać szczelnie piaskiem i tak zadołowana przetrzymuje dobrze zimę. Do dołowania należy wybrać miejsce spadziste, aby nie zatrzymywało wody, gdyż ta bardzo źle wpłynęłaby na zimowanie. Przed mrozem zabezpieczamy przez narzucenie na rowek grubej warstwy ziemi, która utworzy rodzaj grobli i dobrze zabezpieczy przed zimnem.

Jan Matysik.

KRONIKA.

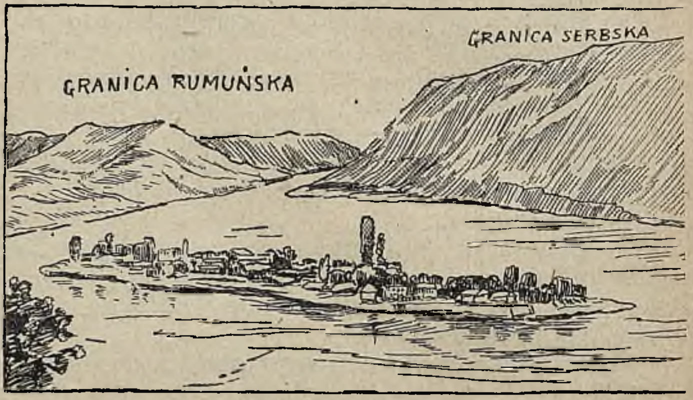
Od Administracji. Prosimy wszystkich tych Prenumeratorów, którzy prenumeraty na IV kwartał nie nadesłali jeszcze, aby wysłali ją corychlej, gdyż następny numer mogą mieć wstrzymany.

Konie pod kołami pociągu. Pasażerowie pociągu osobowego Nr. 322, zdążającego ze Stanisławowa do Lwowa byli onegdaj świadkami krwawej sceny, w czasie której poniosły śmierć trzy niewinne zwierzęta. Mianowicie, gdy pociąg zbliżał się do Halicza i w pędzie przejeżdżał przez tor, znalazły się na nim trzy konie, będące własnością gospodarza Tomaszewskiego i Łysaka. O zatrzymaniu pociągu nie było mowy, ze względu na zbyt małą odległość. Konie wpadły pod koła maszyny i zostały rozszarpane w kawałki, poniósłszy śmierć na miejscu. Po usunięciu przeszkody z toru ruszono w dalszą drogę.

W obawie przed zjedzeniem. Na skutek doniesienia ze strony magistratu miasta Łodzi, tamtejsze władze bezpieczeństwa przeprowadziły rewizję w mieszkaniu Estery Rosenberg, właścicielki domu przy ulicy Piotrkowskiej. Rezultat rewizji przeszedł potwornością swą najśmielsze oczekiwania. Mianowicie w jednym z pokoików uwięziona była od kilkunastu lat córka właścicielki. Spędziła ona cały ten czas wśród wydzielin i gnijących kości od mięsa, w niedającym się opisać brudzie, niechlujstwie i zaduchu. Gdy przedstawiciele policji weszli do pokoju, w którym więziona była córka właścicielki, nieszczęśliwa z wyrazem przerażenia na twarzy zaczęła uciekać. Sprawiała ona wrażenie istoty na pół dzikiej. Mimo, że ma dopiero 30 kilka lat, wygląda na 80-letnią staruszkę. Od roku 1914 nie przekroczyła ona progu swego więzienia, najlżejszy szmer wywołuje w niej paniczny strach. Jak stwierdzono, jest ona umysłowo chora i została zamknięta w tem strasznem więzieniu przez również chorą umysłowo matkę, która jednak, mimo objawów choroby umysłowej, miewa chwile zupełnej przytomności umysłu. Otóż matka ta oświadczyła policji, gdy chciano badać córkę, że córka jej nie umie już mówić. Z dalszych jej zeznań i przeprowadzonych dochodzeń okazało się, że Rosenbergowa z zupełną świadomością morzyła córkę głodem, sama zaś szukała rozrywek i uczęszczała do kawiarń, kinoteatrów i t. p. Środki na utrzymanie czerpała z pieniędzy, jakie przysyłali jej krewni z Ameryki. Jako motyw nieludzkiego postępowania z córką podała Rosenbergowa, że obawiała się, aby córki nie wykradziono i nie zjedzono! Zarówno matkę jak i nieszczęśliwą jej ofiarę oddano pod obserwację lekarską.

Cudowne źródło w Rumunji. Dzienniki rumuńskie od tygodnia pełne są opisów cudów, odbywających się w rumuńskiej wiosce Semeen. Odkryto tam z końcem sierpnia b. r. cudowne źródło. Według dzienników rumuńskich odkrycia dokonał kilkunastoletni niewidomy chłopiec, któremu śniło się, że gdy przemyje oczy wodą ze źródła, odzyska wzrok. Rodzice zaprowadzili chłopca do źródła znajdującego się w lesie i rzeczywiście po przemyciu oczu ślepy chłopiec odzyskał wzrok. Na wiadomość o tym cudzie do Semeen zaczęły zjeżdżać tysiące i dziesiątki tysięcy pielgrzymów. W urzędowych protokółach lekarze rzeczywiście stwierdzili w ostatnich tygodniach pięć wypadków uzdrowienia. Dziewczyna Helena Grigoresen po wykąpaniu w źródle została uzdrowiona z epilepsji. Chłopak Jan Heltea, od dwudziestu lat ślepy odzyskał wzrok, a dwoje innych osób sparaliżowanych, obecnie znowu chodzi i mówi. Sprawą tą zajęły się władze kościelne.

Zapomniany zakątek. Na Dunaju w pobliżu miasta Orsowa, istnieje wyspa 5 kilometrów długa a 2 kilometry szeroka, zamieszkana przez 800 ludzi, którzy od pół wieku nie płacą żadnych podatków, ani cła, nie odbywają służby wojskowej, wogóle wolni są od wszelkich zobowiązań obywatelskich, ponieważ nie należą do żadnego państwa.



Wyspa ta zwana Ada-Kaleh, należała kiedyś do Turcji, ale wskutek wojny rosyjsko-tureckiej w latach 1877 i 1878 uzyskała swą niezawisłość, dzięki tej okoliczności, że przy zawieraniu pokoju o niej zupełnie zapomniano i nie powzięto żadnego postanowienia co do niej. Wyspa cieszy się więc odtąd zupełną wolnością i ostatnia wielka wojna światowa pozostawiła ją najzupełniej w spokoju. Mieszkańcami jej są Turcy, Serbowie, Węgrzy, Niemcy, Żydzi hiszpańscy i cyganie.

Hojny rzeźnik. We wsi Hajdubagos pod Debreczynem, na Węgrzech, wydawał w tych dniach — jak donoszą dzienniki budapeszteńskie — rzeźnik tamtejszy Rudolf Nagy, córkę swą za wędliniarza debreczyńskiego. Aby zaś mieszkańcy Hajdubagos wiedzieli jak się tem zdarzeniem szczęśliwem raduje, zaprosił wszystkich na uroczystości weselne, dodając, że kto nie może przybyć na ucztę weselną, ten otrzyma w przeddzień uroczystości w sklepie jego kilo mięsa bezpłatnie. Dnia powyższego jatka Nagy'ego była przepełniona, wszyscy bowiem mieszkańcy zgłosili się po mięso bezpłatnie, a swoją drogą przybyli też na ucztę, która trwała trzy dni w ustawionych w tym celu namiotach. Podczas niezwykłego tego wesela spożyto 4 woły, 8 wieprzy, 6 cieląt, 100 kur, 800 jajek i 12 cetnarów chleba i ciast rozmaitych popijając to wszystko 15 hektolitrami wina! Widocznie dobrze się dzieje mistrzowi rzeźnictwa w Hajdubagos!

Wieś bez mężczyzn. W pobliżu Nowej Ładogi w Rosji, znajduje się wieś, która wkońcu musiała zwrócić na siebie uwagę władz, ponieważ była zamieszkaną wyłącznie przez same wdowy. Wysłano śledczą komisję rządową i ta stwierdziła wstrząsający fakt, że wszyscy mężczyźni w tej wsi zostali zamordowani. Kierowniczką tego zbrodniczego ruchu była wieśniaczka Zofja Safarin, jedna z najbardziej zwyrodniałych kobiet, jakie na świecie wogóle spotkać można. Była ona trzy razy zamężna i wszyscy jej trzej mężowie zmarli wśród tajemniczych okoliczności. Komisja stwierdziła, że dwaj jej mężowie, których zwłoki ekshumowano, zostali zatruci. Ostatni mąż Safarinowej miał się rzekomo utopić, ale i tutaj się okazało, że zbrodnicza żona najprzód odurzyła go jakimś środkiem oszałamiającym, a potem wywlekła z domu i rzuciła do wody. Kiedy w wodzie powróciła mu świadomość i chciał się ratować, żona żelazną łopatą zgruchotała mu czaszkę. Zamordowawszy swego ostatniego męża, Zofja Safarin zaczęła nakłaniać wszystkie inne kobiety we wsi do mordowania mężów. Kobie-

ty schodziły się na wspólne picie herbaty, a zakończeniem każdej z takich wizyt było zamordowanie kilku mężów. Kobiety urządzały również nocne zabawy, na które zapraszały mężczyzn, a kiedy ci byli już zupełnie pijani, ściągały ich do piwnicy i tam mordowały. To bestjalskie masowe mordowanie mężczyzn rozpoczęło się po wojnie. Mężowie, powróciwszy z wojska, chcieli znowu objąć kierownictwo gospodarstwa i domu, ale kobiety temu się sprzeciwiły, broniąc swoich praw, zdobytych w okresie wojennym. Zofja Safarin oświadczyła, że złe traktowanie ze strony pierwszego męża, uczyniło ją zaciętą nieprzyjaciółką mężczyzn. Sama zamordowała 30 mężczyzn. Nie trudno przyszło jej namówić inne kobiety do zbrodni, ponieważ każda z nich miała swemu mężowi wiele do zarzucenia. W wypadku cofnięcia się jakiejś kobiety przed zbrodnią, Safarina sama osobiście mordowała ofiarę. Naogół wymordowano 58 mężczyzn. Natomiast kobiety pozostawiały przy życiu swoich synów. Aresztowano wszystkie kobiety wsi, wyjąwszy wdowy, których mężowie polegli na wojnie.

Rekordowa rozwódka. Nikogo nie dziwi, że w bolszewickiej Rosji spotyka się bardzo często kobiety i mężczyzn, którzy przeżyli w krótkim czasie kilka, a nawet kilkanaście rozwodów. Jest to wynikiem łatwego uzyskiwania ślubów i rozwodów. W innych państwach cywilizowanych rozwody są utrudnione, wobec czego Ameryka może się szczycić, iż u niej a nie gdzieindziej, ustanowiony został światowy rekord rozwodowy. Zdobyła go 21-letnia mieszkanka Sioux City, p. Flossie Lane, która dnia 14 b. m. po raz szósty stanęła na ślubnym kobiercu, w nadziei, że jej szósty małżonek będzie inny od pięciu niefortunnych poprzedników. Na zapytanie reporterów pism amerykańskich, w przededniu ślubu, jakie ma zdanie o swych pięciu b. małżonkach, p. Flossie Lane odpowiedziała:

— Nie mogę o nich nic powiedzieć, gdyż wychodząc po raz szósty zamąż, mogłabym obrazić mimowoli mego przyszłego małżonka. Sądzę jednak, że rozwód jest nieraz ostatnią deską ratunku w niedobranem małżeństwie.

Ze słów tych wynika, że p. Flossie Lane nie rezygnuje z ewentualnych dalszych rozwodów. Szczęść jej Boże!

Gotowanie na słońcu. Gazety niemieckie donoszą: W berlińskiem biurze patentowem zgłosił inż. Erich Frisch epokowy wynalazek pod nazwą: maszyna słoneczna. Wprawdzie używają już w Kalifornji i w Egipcie ogromnych luster wklęsłych, które służą do wytwarzania pary wodnej, lecz urządzenia te są bardzo kosztowne i działają tylko pod wpływem silnych promieni słonecznych. Inż. Nitsch zbudował bardzo prostą maszynę, polegającą na odpowiedniem ustawieniu soczewek. Najmniejszy promień słoneczny przepuszczony przez szkła, wytwarza temperaturę, dochodzącą do 300 stopni Celsjusza. Wynalazek inżyniera Frischa zastosowany być może nawet w kuchni, a kosztuje tyle co dobry kaflowy piec. O ile wynalazek ten okaże się prawdziwym, byłby on wielkiem dobrodziejstwem szczególniej dla ludzi biedniejszych.

Zawodowy pośrednik miłości. W Londynie zmarł przed kilku dniami Albert Cooks, pozostawiając po sobie w spadku 4-piętrowy dom w jednej z handlowych dzielnic miasta i 50 tysięcy funtów szterlingów w gotówce (przeszło 2 miljony złotych). Nieboszczyk wyposażył sowicie trzy córki, dając każdej po 10 tysięcy funtów i własny dom wraz z całem urządzeniem. Majątek zmarłego nie budziłby większego zainteresowania, gdyby nie przedziwny sposób zarobkowania, który Cooksa tak bogatym uczynił człowiekiem. Zmarły był bowiem specjalistą od pisania listów miłosnych, które podobno nigdy nie zawodziły. Całe życie spędził w robotniczej dzielnicy, w okolicy Tower Bridge, gdzie zajmował skromne mieszkanko, złożone z trzech pokoi. Do tej szczupłej siedziby cisnęli się kochankowie szczęśliwi i zrozpaczeni, pragnący przelać na papier swe uczucia. Cooks ich wyręczał i za jednego szylinga pisywał listy tak czułe, iż nie mogło się im oprzeć żadne serce. Do mistrza przychodziły rzesze młodych robotnic i robotników. Dzień pracy Cooksa trwał przeciętnie 12 godzin. W tym czasie wypisywał mistrz około 100 listów, a gdy wzrosła jego klientela, pomagało mu dwu sekretarzy. Przeciętny dochód mistrza wynosił dziennie 200 szylingów. Wojna europejska wpłynęła doskonale na interesy Cooksa. Klientela jego wzrosła wówczas do ogromnych rozmiarów. Pracowity człowiek nie mógł jednak podołać nawałowi obstalunków i zachorował skutkiem przepracowania. Od tego czasu nie odzyskał już zdrowia i zmarł na anemję mózgu.

Śmierć małpy z tęsknoty. W ogrodzie zoologicznym w Manchesterze zdechł 16-letni szympans Toddy, ulubieniec publiczności i służby. Śmierć nastąpiła skutkiem tęsknoty. Przed czterema miesiącami stracił biedny Toddy swą małżonkę, z którą żył przez lat dwanaście w najczulszej zgodzie. Przez tak długi okres małżeństwa raz tylko jedynie podbił oko swej żonie, za co zresztą został potężnie skarcony przez pogromcę. Po śmierci małżonki zapadł Toddy na melancholję. Siedział w kącie klatki i nie przyjmował żadnego pożywienia. Nie nęciły go najlepsze smakołyki, odpychał je pogardliwie, a gdy wprowadzono mu do klatki na pocieszenie nową żonę, znacznie młodszą od niego, rzucił się na nią wściekły i chciał ją udusić. Lekarz stwierdził u szympansa rozstrój nerwowy. Śmierć nastąpiła skutkiem wyczerpania.

Miłość kotki. Nieraz ze smutkiem można zobaczyć, jak matka znęca się nad własnem dzieckiem, a jeżeli się nie znęca, to przynajmniej o nie się nie troszczy, ale je zaniedbuje gorzej bydlęcia. Jakże przeciwnie jest u zwierząt! Oto w pewnej wiosce szwedzkiej, ogień objął cały dom mieszkalny i wszyscy ludzie opuścili go. Nagle przybiegła na podwórze kotka jednego z domowników i usiłowała wedrzeć się do płonącego domu. Zatrzymywano ją kilkakrotnie w połowie drogi; zaledwie jednak przestano zwracać na nią uwagę, rzuciła się w morze płomieni.



Niebawem powróciła ona z maleńkim kotkiem w pyszczku, płonęła jednak już cała. Obecni na miejscu pożaru widzowie zdołali z trudem uratować dzielne zwierzę. Kotka owa okazała miłość dla swego dziecięcia większą, niż niejedna matka.

Pięcioletni prorok. W Indjach pojawił się nowy prorok, który elektryzuje ludność swemi kazaniami i uważany jest za świętego, mającego odrodzić Indje i cały świat. Nowy prorok liczy zaledwie lat pięć i nazywa się Nuang Tun Kyaing. Jest on synem ubogiego tkacza i biednej robotnicy rolnej. Pomimo młodego wieku okazuje „święty“ niezwykłą wiedzę. Cytuje z pamięci teksty buddyjskie: komentuje filozofów i mówi biegle dwoma językami. Kazania jego wywołują ogromne wrażenie i ściągają tłumy ludności, która z zapartym oddechem śledzi każde słowo cudownego dziecka. Wedle przekonania Buddystów, Nuang Tun Kyaing jest następcą czczonego w Indjach proroka Jung Yaung Sayadowa i w ciało pięcioletniego chłopaka wstąpiła dusza świętego, który zmarł przed kilkuset laty. W kazaniach swych porusza cudowne dziecko nietylko sprawy teozoficzne, odnosząc się nieżyczliwie do Europy i białych ludzi, którzy nie mają wzniosłych ideałów i za cel swego życia uważają pieniądz i rozkosze ciała.

Straszne represje. Dzienniki chińskie piszą, iż wskutek tego, że ktoś strzelił do grupy żołnierzy generała Ten-Jung-Ksianga w Czang-Te, generał ten zarządził tak straszne represje w stosunku do mieszkańców tego miasta, że około 50 tysięcy z nich wycięto w pień. Tak tylko może dziać się w Chinach!...

Barbarzyński zwyczaj. U plemion górskich zamieszkujących terytorjum Chin południowych, graniczące z Tonkinem, zachowało się jeszcze wiele zwyczajów i obyczajów odwiecznych, niezgodnych już z pojęciami europejskiemi. Podróżnikowi, płynącemu rzekami prowincji Junnanu, zdarza się czasem ujrzeć na wodzie tratewkę niewielką, unoszoną przez prąd rzeczny. Przyjrzawszy się jej przez lornetkę, podróżnik spostrzega, przerażony, uwiązane sznurami do tej tratewki, sporządzonej z bambusu, dwa ciała ludzkie. Jeżeli tratwa zbliża się do łodzi lub dżonek, płynących po rzece, to sternicy szybko usuwają się jej z drogi, zaciekawiony więc podróżnik europejski zwraca się o wyjaśnienie tej zagadki do krajowców, ci jednak najczęściej wzruszają ramionami i uśmiechają się szyderczo. Wkońcu jednak Europejczyk zaspokaja swą ciekawość i dowiaduje się, że u szczepów górskich tej prowincji, rządzących się tylko prawem zwyczajowem, małżonek, który przekona się o wiarołomstwie swej żony, zwołuje sąd wioskowy, a na mocy wyroku otrzymanego, przywiązuje małżonkę wiarołomną i jej kochanka do tratwy bambusowej i puszcza ich z prądem rzeki. Całemi dniami płynie taka tratwa, unikana przez wszystkich, bo wszelka próba uratowania skazanych narazi ratownika na śmierć niechybną z ręki członków rodziny zdradzonego męża, a skazańcy paleni przez słońce, wystawieni na chłody nocne, cierpiąc przytem męki głodu i pragnienia, giną wreszcie z wycieńczenia, lub też porwani przez prąd wodospadu tracą życie w jego odmętach.

Ucieczka miljonerki z policjantem. Pani John Bach, żona miljonera w Plainfield, w Stanach Zjednoczonych, nudziła się śmiertelnie. Niedawno mąż jej, powróciwszy do domu, zastał list żony, w którym ta donosiła mu, że nie mogąc wytrzymać dłużej, wyjeżdża w świat. Rozpoczęto poszukiwania i niedługo zdołano wyśledzić prawdę. Pani John Bach zakochała się w miejscowym policjancie, przezwanym „Garbuskiem Panny Marji“, który to przydomek miejscowa ludność zaczerpnęła ze znanej powieści Wiktora Hugo p. t. „Notre Dame de Paris“. Policjant jest człowiekiem ubogim i żonatym, a na kilka dni przedtem żona powiła mu nowego potomka. W oczach miljonerki wszystkie te szczegóły nie stały na przeszkodzie. Kupiła nowy samochód, zabrała wszystkie swe kosztowności i uciekła z policjantem w świat. Znaleziono ich w dwa dni później w niewielkiej odległości, ale żadne z zakochanych nie chce wrócić do ogniska domowego. Garb i ubóstwo policjanta stanowią w oczach pani John Bach większy urok, niż miljony męża.

Kłopoty małżeńskie pięknej Amerykanki. Nie bardzo to przyjemna rzecz, gdy się wychodzi za mąż za człowieka uchodzącego za fabrykanta czekolady, który później okazuje się „starym, ślepym żebrakiem“. Taki fakt zdarzył się obecnie w Broklynie. Pewna Amerykanka poznała tam przystojnego Greka, w którym się zakochała. Małżeństwo zostało zawarte bardzo szybko, bo w pięć dni po pierwszem spotkaniu. Amerykanka udała się z mężem do Detroit, gdzie właśnie miał ów Grek fabrykę czekolady. Oczekiwała naturalnie, iż mąż zawiezie ją do jakiegoś wspaniałego pałacu lub przynajmniej wytwornego apartamentu. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała, iż fabrykant czekolady zajmuje dwa skromne pokoiki, umeblowane bardzo prymitywnie. Następnego dnia wczesnym rankiem wyszedł Grek z domu, aby — jak oświadczył — udać się do owej fabryki. Cała ta sprawa wydała się jego żonie podejrzaną, to też zasięgnęła informacyj u właścicielki kamienicy. Ta złośliwie się zaśmiała, gdy usłyszała o fabryce Greka.

— Pójdź pani ze mną — zawołała do zmieszanej kobiety — a pokażę pani fabrykę męża. Panie zeszły na ulicę. Po chwili właścicielka kamienicy zatrzymała się i pokazała swej towarzyszce jakiegoś sędziwego żebraka, o długiej, falującej brodzie, o czarnych okularach. Na piersiach nosił tabliczkę z napisem: „Nieszczęśliwy ślepiec prosi o wsparcie“. Żona Greka nie widziała co ma oznaczać postępowanie właścicielki kamienicy. Ale nagle żebrak, jakby odrodzony i odmłodniały zaczął szybko się oddalać.

— Widzi pani, jak ucieka! — rzekła zjadliwie właścicielka. Ten stary żebrak, to właśnie mąż pani.

Osłupiała kobieta omal nie postradała zmysłów. Okazało się rzeczywiście, że właścicielka miała słuszność. Grek przyznał się do tego dziwnego sposobu zarobkowania, a zataił go przed żoną, gdyż kochał ją gorąco, a obawiał się, że nie zechce ona poślubić żebraka. Amerykanka zrazu miała wdrożyć kroki rozwodowe. Ale myśl porzucenia kochanego człowieka przeszyła jej serce tak straszliwym bólem, że postanowiła przy nim pozostać, ale pod warunkiem, że zmieni zawód. Grek z radością zgodził się na tę propozycję, a właścicielka kamienicy, którą niegdyś łączyły z nim bliższe stosunki znajomości, przeliczyła się w swoich rachubach, które skłoniły ją do zdemaskowania kochanka. Afera ta, żywo omawiana przez prasę amerykańską, rozeszła się głośnem echem i wywołała w całej Ameryce bardzo żywe zainteresowanie.

Król pracy. Wśród wielu rekordów zasługuje na szczególną uwagę wysiłek rodaka naszego p. Franciszka Kawęzińskiego, który wysunął się na pierwsze miejsce wśród pracowników całego świata. Pan Kawęziński, zajęty jako majster ślusarski w jednej z fabryk w Buenos Aires, stanął do „zawodów pracy“ i potrafił przez 5 dni i 4 noce pracować przy warsztacie, przerywając jedynie pięć razy na dobę swe czynności na przeciąg 10 minut, celem spożycia posiłku. Po 105 godzinach pracy p. Kawęziński wziął ciepłą kąpiel i spędził 4 godziny wśród grona swych przyjaciół, którzy na cześć jego wydali bankiet.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Józef Fornal na maślankę dla Maćka 1 zł., Jan Żmuda z Przecieszyna dla Maćka 60 gr., Marja Wawrzykówna z Pastwisk 1 zł. 35 gr.

RZECZY CIEKAWE.

Ile wart piorun?

Mało ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak olbrzymią wartość przedstawiałby piorun, gdybyśmy byli w stanie wykorzystać jego siłę elektryczną, która powstaje na skutek wyładowania elektrycznego między dwiema chmurami, względnie między chmurą a ziemią. Dwaj uczeni amerykańscy zadali sobie trud obliczenia wartości piorunu na podstawie dokładnych badań intensywności jego świecenia. W wyniku badań doszli do przekonania, że piorun o średniej sile, posiada tyle energji, że mógłby zaopatrzyć prądem 30 lamp elektrycznych przez 10 lat. Siła prądu piorunu wynosi około 30.000 amper. Dla unaocznienia liczbowej wartości pioruna służyć może jeszcze następujący fakt: Piorun uderzył razu pewnego w komin fabryczny, przyczem stopił podwójny kabel z miedzi. Miedź — jak o tem uczy chemja — topi się dopiero w temperaturze 1094 stopni Celsjusza. — Działanie piorunu trwało zaledwie dziesięciotysięczną część sekundy! Jak olbrzymia była ta energja, jeżeli pod jej, tak znikomo krótkiem działaniem stopiły się grube kable miedziane.

Państwo Menonitów.

W Paragwaju, w sercu Południowej Ameryki, powstało w tych dniach nowe państwo, a założone zostało przez sektę Menonitów, którzy wielu rządom byli solą w oku.

Sekta, której macierzystym krajem jest Rosja, nie licząc już rozproszonych po wszystkich krajach Europy współwyznawców, ma w samych Stanach Zjednoczonych Ameryki przeszło 200 tys. zwolenników a conajmniej 50 tys. w Kanadzie. Ludzie ci sądzą, że w Paragwaju znaleźli wreszcie swoją „Ziemię obiecaną“.

Menonici są — jak wiadomo — pacyfistami, którzy nie uznają służby wojskowej. Nie chcą oni również nic wiedzieć o posłuszeństwie poddanych w stosunku do władz. Pragnęliby oni posiadać własne szkoły, w którychby własną etykę propagowali i są zamiłowani w rolnictwie i hodowli bydła. Przeszedłszy wiele przykrych scysyj i konfliktów podczas wojny, przyszli Menonici do przekonania, że najlepiej dla nich będzie, gdy założą własne państwo.

Jenerałowi Robertsowi, prezydentowi kilku olbrzymich banków, do którego Menonici zwrócili się w ostatnich czasach, udało się zrealizować plan tej sekty przy pomocy kilku bogatych rodzin Paragwaju.

Menonici nabyli przestrzeń ziemi rozciągłości 120 mil. ha. Jest to kraj bardzo urodzajny i piękny, a porównaćby go można z olbrzymim ogrodem, w którym rosną pomarańcze, cytryny, banany i bawełna. Rząd Paragwaju nadał Menonitom tak obszerne przywileje, że nowa kolonja może być uważaną za samoistne państwo w państwie. Dotychczas przybyło już tam 2 tys. Menonitów, a punktem środkowym kraju jest miasto Porto Casalo, leżące jakie 3 tys. km. na północ od Buenos Aires. Osiedleńcy wybudowali już wiele domów, hotelów, teatrów, założyli kolonje i t. p.

W Kanadzie i Stanach Zjednoczonych sprzedają Menonici swoje farmy, by się przesiedlić do nowego kraju, gdzie pług zastąpi miecz i armatę.

Najbogatsi ludzie.

Najbogatsi ludzie żyją w Anglji, gdzie jest ponad 700 rodzin, których majątek wynosi przeciętnie 855 tysięcy funtów szterlingów. We Francji natomiast góruje średni stan posiadania. W Niemczech w latach 1918 i 1919 — 5.500 ludzi stało się miljonerami, t. zn. dwa razy więcej niż w przeciągu 20 poprzednich lat.

Historja poczty.

„Wynalazek“ poczty przypisać na leży dawnym królom perskim.

A właściwie królowi Cyrusowi. Zdawał on sobie sprawę jak uciążliwa jest korespondencja między nim a gubernatorami prowincji. To też przekonawszy się, że koń spełnia dobre funkcje łącznika, kazał pobudować na etapach stajnie dla zmiany koni.

Potem utworzył urząd mistrza poczty, upoważnionego do odbierania i wysyłania paczek, kurjerów itp. Poczmistrze musieli odbywać drogę bez względu na pogodę. „Mistrz poczty“, było to stanowisko wysokie, a sam Darius przed wstąpieniem na tron piastował je.

Najszybsze pociągi.

Najszybsze pociągi chyba są na jednej z linji kolejowych we Francji: linji Kompanji Południowej. Bowiem pociąg jej odległość 198 klm. między Bordeaux a Bayonne przebywa w 1 g. 44 m., co wypada na godzinę 114 klm.

Bywa, że pociąg ten przebywa na godzinę i 120 klm... Tak więc jest to najszybszy pociąg na świecie.

Najmniejsze państwa na świecie.

Znane są 4 najmniejsze państwa w Europie: republiki — Andora i San Marino, oraz Księstwa — Lichtenstein i Monaco. San Marino ma fundować sobie niezadługo kolej żelazną.

Mniej natomiast znane dzieje tych państewek. Otóż San Marino powstała w 14 wieku, Andora w roku 1607, księstwo Monaco datuje się od r. 1641, a Lichtenstein, najpierw 1688, a potem 1694.

Pod względem zaludnienia największe jest Monaco, mając 23.418 mieszkańców; San Marino — 12.812, Lichtenstein Ó 11.500, a Andora — aż 5.231!...

Powierzchnię jednak ma największą Andora — 452 klm. kwadratowych, Lichtenstein — 159, San Marino — 61 i pół, a Monaco — 22.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Filhauserowa** w Bruśniku: Doprawdy, że nie rozumiemy, co Panią w tej anegdocie gorszy. Bierze Pani duchowieństwo w obronę tak, jakbyśmy byli wrogami duchowieństwa. I w tem właśnie Pani się myli, gdyż my cenimy Duchowieństwo i stawiamy je najwyżej w hierarchji społecznej. Anegdotka, która dała powód do obrony Duchowieństwa, jest wyjęta ze zbiorku humoru religijnego księdza Józefa Nakłowicza, wydanego we Lwowie zeszłego roku. Ksiądz Nakłowicz w Przedmowie do broszurki pisze tak: „Radbym jak najwięcej zebrać z humoru religijnego, ażeby ten dział humorystyki wyczerpać i utrwalić anegdoty, zwłaszcza autentyczne, a jeszcze nie ogłoszone drukiem. Humor wpływa dodatnio na usposobienie człowieka, a w działalności duszpasterskiej może oddać usługi“. I my jesteśmy tego zdania, że dobry humor więcej nieraz zdziała, aniżeli najsurowsze nakazy i morały. Nie pomylimy się, twierdząc, że w tym wypadku jest Pani bardziej cesarską, aniżeli sam cesarz. — **Jan Kruk** w S.: Chwali się Pan w swoim „poemacie“, iż ma Pan szczęście do dziewcząt. Czy myśli Pan, że to taka wielka sztuka? Nam się zdaje, że nie! Trzeba Panu wiedzieć, że łatwiej znaleść tysiąc dziewcząt, aniżeli jedną jedyną dziewczynę. — **Zofja Stösówna** w Woli Duchackiej: Nadesłaną nam „Legendę“ włączyliśmy do prac konkursowych. Z pobieżnego przeglądnięcia jej jednak widzimy, że jest ona dobrze napisaną, dlatego prosimy o coś więcej poza konkursem. — **Karol Mazur** w M.: Już Mickiewicz powiedział, że lepiej być nieszczęśliwym lwem, aniżeli zadowoloną myszą. Niechże więc Pan nie przejmuje się swojem rzekomem nieszczęściem, bo to do niczego nie doprowa-

dzi. — **Antoni Kapica** w S.: Właśnie to, co setkom się podoba, niektóre przeczulone jednostki razi. Ale nam więcej zależy na ogóle, aniżeli na jednostce. Maciuś za słowa uznania serdecznie dziękuje. — **Jan Stokłosa** w Z.: Gazetka owa po kilku numerach przestała wychodzić. Wydawca pozarywał wielu ludzi i umilkł, bo wstyd się mu publicznie odzywać. Tak to niektórzy ludzie mają wzniosłe hasła dla inynch, ale dla siebie nie! — **Jan Kantorowicz** w Ch.: Nadesłany nam wierszyk ma duże zalety, ale jeszcze większe wady, więc drukować go nie możemy. — **Nuśka Steuerówna** w K.: Obydwie prace oddaliśmy sądowi konkursowemu. Co on zawyrokuje, my nie wiemy. A kiedyż będzie ten przyobiecany list? Czyżby to była tylko obiecanka? — **Wawrzek Miesiączek** w Z.: Skądżeby znów kompromitacja. Podamy tylko nazwiska tych autorów, których prace będą drukowane. Inne utwory bezimiennie pójdą do kosza. — **Piotr Orłowski** w Z.: Obydwie rzeczy bardzo dobre; prosimy o dalsze. — **Jan Węgiel** w C.: Owszem wierszyki Pańskie są niezłe i będą drukowane, ale kiedy, trudno nam orzec. Wierszy dostajemy bowiem codziennie po kilka i kilkanaście, a możemy drukować w każdym numerze zaledwie dwa lub trzy. — **Maryśka z Kamionki:** Lilijka nadesła. Kiedyż się Maryś wybierzesz do Krakowa? Namów tatusia, a jeżeli nie zechce, przyjedź sama. — **Edward Cygan** w B.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Jan Krzak** w H.: Redaktor „Roli" umie bardzo dobrze czytać i nie zrażają go nawet najgorsze bohomazy, owszem czyta je nieraz całymi nocami z zadowoleniem, jeżeli zawierają tylko jakiś sens i myśl poczciwą. Ale nawet takiego bez żółci człowieka, jak on, może taki utwór, jak Pański, wyprowadzić z równowagi. Słowa, słowa i słowa, bez sensu, bez myśli, bez treści, a jeszcze tak niestarannie nababrane, że aż mdło się robi. Czytając Pański „utwór" redaktor nasz miał ochotę dwa razy zemdleć, ale nie miał czasu... i nie zemdlał. Lepiej niech Pan swoich „utworów" więcej nam nie przysyła. — **Ignacy Biegacz:** Prace konkursowe otrzymaliśmy. — **Franciszek Pociecha** w K.: Niezmiernie zdziwieni smutną wiadomością o nieszczęściu Pańskiem, wyrażamy Panu serdeczne współczucie. Na życzenie Pańskie zgoda. — **Aniela Bieda** w L.: Zaraz po otrzymaniu 1 zł. 20 gr. książeczkę wysłaliśmy i mamy zanotowane dnia 8 września. Zatrzymano na poczcie albo w gminie; wnieśliśmy skargę do dyrekcji poczt. — **Bronisława Wątroba** w L.: O to właśnie rozszerzanie „Roli" między swoich znajomych prosimy. Prosimy o chęć ku temu, bo trudności nie będzie. Cześć!!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 11 paźdz. b. r.

Pszenica .	50·50—51·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	34·00—35·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	38·00—40·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	22·50—23·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	62·00—62·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	85·00—86·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	22·00—22·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Topolski z B.).

■ ☆ ☆ ☆ Otwór w ziemi.
■ ☆ ☆ ☆ Trunek.
■ ☆ ☆ ☆ Żerdź.
■ ☆ ☆ ☆ Służy do ważenia.
■ ☆ ☆ ☆ Służy do szycia.
■ ☆ ☆ ☆ Wzniesienie.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ Niedużo.
■ ☆ ☆ ☆ Część ciała zwierząt.
■ ☆ ☆ ☆ Ciecz tłusta.
■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ Skorupiaki.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Pocisk.
■ ☆ ☆ ☆ Bożek miłości.

Początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanej aktorki filmowej.

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

I.

Pierwsze szukaj w uzębieniu
Drugie mówisz w powątpieniu,
Zaś do drugiego trzeciego
Trzeba chłopa dość tęgiego;
Spotykasz go na weselu.
Całość ma smakoszy wielu.

II.

Pierwszy, pół trzeciego w nocy
Widzi, bo ma bystre oczy,
Drugie trzecie nazwa znana,
Gdzie sport lubią używana.
Trzecie drugie znajdziesz w rzece.
Całość dziwo, strach niosące.

III.

Pierwsze znany to przysłówek,
Drugie to znowu zaimek,
Kiedy pierwsze, drugie, trzecie,
Wtedy dziewka drugie trzecie,
Gdy to skończy całość macie,
Którą świnia zwykle trzecie.

3. Zagadki.

I.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

Pierwszy wyraz miasto znane
Przez Polaka miłowane.
Instytucja wyraz drugi,
Ma gałęzi szereg mnogi,
Gdy odejmiesz im po kresce,
Wyraz jeden, co chcesz jeszcze.

II.

(Ułożył Wł. Marko z Kr.).

Wprost przy sporcie zawsze bywa,
Wspak na opał się używa.

III.

Wprost do sportu się używa,
Wspak przy marynarce bywa.

4. Przestawianka.

(Ułożył Wł. Marko z Kr.).

Osioł grzebie. O głowo! Abonent żyd ma ceny.

Z powyższych liter ułożyć znane przysłowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 24 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 39 „Roli": 1. Logogryf: Sacco-Vanzetti. 2. Zadanie konikowe:

„Kto pracuje w czoła pocie,
Zawsze godzien chwały...
Cała wartość człeka w cnocie,
W pracy zaszczyt cały".

3. Układanka: „Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza i t. d.

4. Przestawianka:

„Każde pożyteczne dzieło
Z dobrej myśli się poczęło,
Z dobrej chęci z dobrej duszy...
Wszystko inne w proch się kruszy".

5. Rota. Rola. Konstytucja. Liga Narodów. 6. Szarady: Tajemnica. Koszary. Jagody.

Dobrego rozwiązania w oznaczonym czasie wszystkich zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Kto niszczy wiarę w sobie, niszczy samego siebie i podobnym się staje do człowieka, który się oślepia, ażeby módz powiedzieć, że nie ma słońca.



Bohaterem jest nietylko żołnierz, który zwycięża wroga na polu bitwy, bohaterem jest także ten, który sam siebie zwycięża.



Chciał dotrzymać warunków.

Do handlu zoologicznego wchodzi jegomość i oświadcza, że ma duże zamówienie, ale nie wie, czy właściciel sklepu zdoła je wykonać.

— Dlaczego nie — odpowiada właściciel sklepu. — Dostarczamy wszelkiego rodzaju zwierząt. O jakie panu zwierzęta chodzi?

— O karaluchy!

— Co?

— Tak, o karaluchy, potrzebuję ze dwa tysiące tych miłych zwierzątek.

Handlarz otwiera coraz szerzej oczy ze zdumienia.

— I na co — pyta wreszcie — jeżeli wolno wiedzieć, potrzeba panu tyle karaluchów.

— Bo widzi pan gospodarz wyrzuca mnie z mieszkania, a adwokat jego oświadczył mi, że muszę mieszkanie oddać w takim stanie, w jakim je zastałem.



Ciężka żałoba.

Paf jest smutny bo umarł mu ktoś bliski. Idzie przeto Paf do sklepu i dowiaduje się, jaki jest strój żałobny. — „Jeśli to bardzo bliski krewny, kupuje pan czarne ubranie — mówią mu, — jeśli zmarł dalszy krewny, wystarczy czarna opaska na ramieniu lub kapeluszu, a jeśli umarł przyjaciel, to trzeba czarny krawat. — Paf głęboko się namyśla, a potem mówi — „Daj mi pan czarne sznurowadło do trzewika: moja teściowa umarła!

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackiem, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli“.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.